



DZIEŃ WYBORÓW

MIESZKAŃCY Z GMINY DOMANIEWICE, JAK I CHŁOPI Z CAŁEJ POLSKI, TŁUMNIE WZIELI UDZIAŁ W WYBORACH. A TE DWIE MŁODE CHŁOPKI DLATEGO Z UŚMIECHEM CZYTAŁY LISTĘ KANDYDATÓW, ŻE WŚRÓD NICH FIGUROWAŁO NAZWISKO STANISŁAWA KOWALCZYKA, MAŁOROLNEGO CHŁOPA Z RODZINNEJ WIOSKI (FOTOREPORTAŻ Z WYBORÓW PATRZ STR 2, 3, 4, 5)

GŁOSOWAŁA



Pierwszy obywatel Prezydent Bolesław Bierut głosował w stolicy o godzinie 6.02.



Wicepremier Zawadzki i marszałek Rokossowski w drodze do lokalu wyborczego.

SĄ DNI, kiedy wielkie hasła nabierają wyjątkowej wymowy. Kiedy schodzą z transparentów między ludzi i stają się tak bliskie, tak oczywiste i tak konkretne, jak smak chleba i światło słońca. Takim dniem był 26 października 1952 roku. Dzień wyborów do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Tego dnia hasło Frontu Narodowego, hasło jedności narodu w walce o pokój i Plan Sześcioletni wcieliło się w żywy kształt milionów Polaków i Polek, którzy pospieszili do urn wyborczych. Tego dnia jedność narodu wyraziła się w milionach wrzuconych do urn kartek wyborczych z nazwiskami kandydatów Frontu Narodowego. Ale nie tylko w tym. Wyraziła się również w tej szcze-

gólnej atmosferze powagi i serdeczności zarazem, która ogarnęła cały kraj. Była w ludziach świadomość spełniania doniosłego aktu politycznego i była jednocześnie świąteczna radość. Było poczucie zwycięstwa woli narodu i braterstwa tych wszystkich, którzy stanęli w szeregach Frontu Narodowego.

Wyborca polski dobrze sobie przy tym uświadamiał, że trzeba było długich lat walki i pracy, by tak właśnie a nie inaczej wyglądały w Polsce wybory. By naród suwerenny, wolny i niepodległy mógł wybrać taki Sejm, jaki wybrany został 26 października. Wyborca polski uświadamiał sobie, że radość tego dnia poprzedziły tysiące dni ciężkich zmagania z wrogiem, tysiące dni pracy nad umacnianiem władzy ludowej, nad trzebieeniem przekłętej spuścizny przeszłości

i tworzeniem lepszej i piękniejszej przyszłości. Że na ten dzień złożyła się także walka i praca wielu minionych pokoleń bojowników o wolność i prawa ludu.

I oddając swój głos na kandydatów Frontu Narodowego, wśród których pierwszym jest Prezydent Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Bolesław Bierut, wyborcy ślubowali równocześnie, że nie ustaną ani na chwilę w dalszej pracy, by Program Wyborczy Frontu Narodowego — ten, który zjednoczył nas wszystkich — został w pełni urzeczywistniony.

26 października 1952 roku naród polski wybrał swoich kandydatów na posłów do swego Sejmu dla dobra i szczęścia swej Ojczyzny, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.



Głosuje Felicja Wilk ze wsi Krempa.

Na Śląsku głosują dwa pokolenia naszych górników.

Studenci wrocławscy ze śpiewem poszli do urn.

Ks. prof. Jan Czuj składa głos w Komisji Nr 63.



GAŁA POLSKA

FOTOREPORTAŻ WŁASNY

„ŚWIATA”

Zdjęcia wykonali:
W. Dziurzycki, K. Jarochoński,
S. Kafus, P. Kernecko, J. Kos-
sowski, Z. Małek, W. Pra-
żuch, W. Sławny, E. Węglowski.



Głosuje premier Józef Cyrankiewicz...



...i minister Jakub Berman.



Wybory w Szczecinie poprzedził wielki manifestacyjny wiec miejscowej ludności.



Lokal wyborczy w Dąbrówce Wielkiej. Głosują Elżbieta Pogorzalek i Maria Głodek.



Helenka wrzuca do urny kartkę tatusia.



Ich głosy poparły Front Narodowy.

W Białymstoku, podobnie zresztą jak i w innych miastach, miasteczkach i wsiach całej Polski, od wczesnego rana spieszyli tłumnie wyborcy do komisji obwodowych.



Na MDM-ie fotograf jest niedyskret-ny. Uzbrojony w skomplikowane urządzenia fotograficzne i błyskowe, robi przy urnie zdjęcia młodego małżeństwa z dzieckiem, a gdy cała trójka jest już na zewnątrz — podąża za nią na Plac Konstytucji. Przechodzimy przez jezdnię. Idą do kawiarni. Świetnie. Zdjęcie w kawiarni. Później jeszcze jedna fotografia — w drodze do domu — i serdeczne pożegnanie. Młode małżeństwo to Florian i Maria Bugałowie. Mały synek ma 11 miesięcy. Bugała — mieszkaniec MDM-u — jest pracownikiem Ministerstwa Przemysłu Chemicznego.



Henryk Kowol, poseł - hutnik, kandydował w Chorzowie, gdzie pracuje, a sam głosował w Katowicach, gdzie mieszka. 28-letni Kowol należy do najbardziej zajętych ludzi na Śląsku: znakomity wytapiacz kształci się równocześnie w Dąbrowie Górniczej na mistrza hutniczego, a poza tym spotyka się często ze swymi wyborcami, z młodzieżą hutniczą...

TRZYSTA CZTERDZIEŚCI OSIEM

— Znamy się wobec tego z taksówki — rozstrzyga towarzyskie dociekania Janina Kowalska, przewodnicząca Obwodowej Komisji Wyborczej Nr 152. Janina Kowalska jest kierowczynią jednej z „Warszaw”, należących do M.P.T. Niejeden z interesantów patrzy na nią przez chwilę, a później pyta nieodmiennie: „Ale my się przecież znamy, prawda?” Zakończenie dialogu brzmi jak wyżej, a sam dialog toczy się w lokalu wyborczym na Okopowej.

— A ta staruszka, z którą przyjechaliście? A ten obywatel? Rodzina?

Dziennikarze pytają, notują, fotografują, a wszystko to robią szybko, bo wyborczych komisji jest w Warszawie 348 (słownie: trzysta czterdzieści osiem). Przewodnicząca Komisji Nr 152 uśmiecha się i cierpliwie wyjaśnia:

— To nie rodzina.

— Ten obywatel to jest członek Komisji, znany przodownik z MDM-u, Słupski.

— Ta starsza obywatelka to nasza sąsiadka, Florentyna Wróbel. Ciężko jej było dojść pieszo, przyrzekliśmy samochód i spełniliśmy przyrzeczenie...

Po chwili Florentyna Wróbel głosuje. Później głosuje Słupski. „To za MDM — mówi — za naszą pokojową pracę i za naszą siłę”.

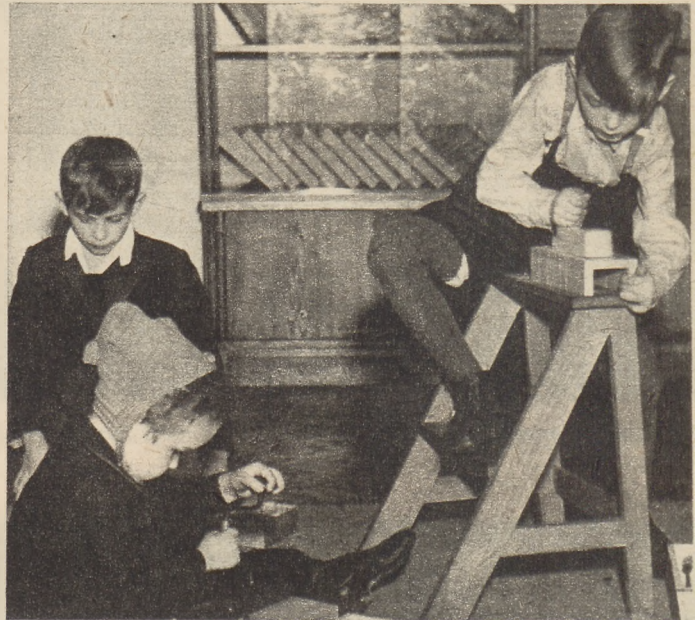
JAKŻE IM DORÓWNAĆ?

Opowiedział nam tę historię katowicki pisarz Jan Brzoza. Miał on ambicję oddania pierwszego głosu w swoim obwodzie. Wstał wcześniej, pospiesznie wyszedł — i pięć minut przed szóstą wszedł już do pomieszczenia komisji obwodowej. Za nim — jeszcze kilkanaście osób. Oddając głos Brzoza zapytał: „Czy jestem pierwszy?” „Pierwszy? Chyba dwiescie pierwszy”.

Cóż się okazało: członkowie komisji wyborczej przyszli wcześniej do lokalu, przygotowali wszystko — i czekają. O pół do szóstej otwierają się zwolna drzwi, pokazuje się w nich głowa w górniczej czapce i młodzieńczy głos nieśmiało pyta: „Można już głosować?” Przewodniczący komisji spojrzal pytająco na członków; niby za wcześniej, ale listy uprawnionych wyłożone, wszystko przygotowane — nie ma podstaw do odmówienia młodemu górnikowi. I odpowiedział: „Można”. W tym momencie drzwi otwierają się szeroko i do sali wchodzi ze stu pięćdziesięciu górników, przeważnie wprost z nocnej szychty, jeszcze z zapalonymi lampkami górniczymi. „I jakże tu im dorównać?” — zakończył opowiadanie pisarz.

W PAŁACU MŁODZIEŻY

Lokal wyborczy w katowickim Pałacu Młodzieży należał chyba do najpiękniejszych w województwie. Wapniały gmach, piękne dekoracje, estetyczne strzałki wskazujące kierunek do wejścia i wyjścia. Przy jednej z tych strzałek — dziwne zjawisko: strzałka z napisem „do wyjścia” wskazuje w prawo, a wyborcy którzy przed chwilą oddali swój głos, jak jeden mąż kierują się w przeciwną stronę. Idąmy za nimi. Dochodzimy do ogromnej, pełnej desek, opilków i wiader z farbami sali. Uprzejmy młodzieniec w zetempowskiej bluzie cierpliwie opowiada coraz to nowym grupom wyborców o kolejnym osiągnięciu Pałacu Młodzieży. Otóż 7 listopada zostanie w Pałacu oddana do użytku piękna sala teatralna na 850 miejsc — wyściełanych foteli. Sala będzie miała idealną akustykę, wspaniałą widoczność, najnowocześniejsze w kraju urządzenia klimatyzacyjne. Z sali korzystać będą młodzieżowe zespoły artystyczne. Na próbach będą miały do dyspozycji aparat do zapisywania dźwięku oraz aparat filmowy, a więc jeszcze w czasie prób młodzi artyści będą mogli się widzieć i słyszeć — na ekranie i z taśmy dźwiękowej.



Dzieci głosujących w katowickim Pałacu Młodzieży przebywały w specjalnie przygotowanej „przechowalni”. Bawiły się tam tak znakomicie, że gdy rodzice po oddaniu głosu przychodzili je zabrać, prosili: — Mamusi, idź głosować jeszcze trochę, bo ja chcę się tu dalej bawić...

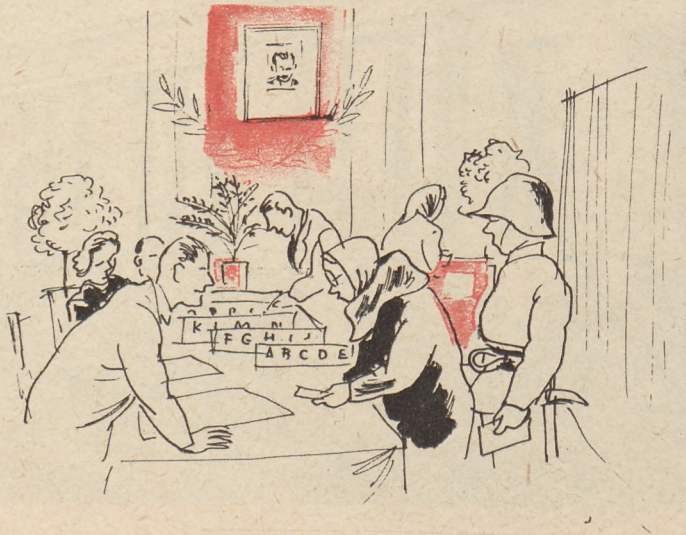


W szpitalu chirurgii urazowej przy ulicy Jotejki w Warszawie głosuje kierowca Henryk Piotrowski. Chorzy śmieją się, żartują; nawet tutaj, w mury szpitala dociera uroczysty, świąteczny nastrój Warszawy.

ZE SZKICOWNIKIEM PRZY URNIE



W obwodzie Nr 1, okręg Nr 1



W Jelonkach pod Warszawą...



Izba dzieci w okręgu wyborczym

TRZY SPOTKANIA

IMIE Z DALEKIEJ GRUZJI

KIEDY Stefan Słysz wracał z wojny, kiedy wracał spod Berlina, to na rynku w Wadowicach jakaś jasnowłosa dziewczyna rzuciła mu bukiet kwiatów. Dawna to historia — powiecie — i co to ma wspólnego z wyborami? Otóż trzeba Was wiedzieć, że było to jak w bajce: rycerz przedwędrował pół świata, dobijał wroga w jego legowisku, pojął za żonę piękną dziewczynę i od tego czasu żyli razem szczęśliwie i mieli wiele dzieci.

A w ogóle to było tak: Na lotnisku krakowskim w Czyżynach był duży ruch i samolot pasażerski z Warszawy musiał zatoczyć trzy koła nad Nową Huta, zanim puszczono go do lądowania. Był to już wieczór i w nowych blokach mieszkalnych zapalały się pierwsze światła. Reporter patrzył z góry na domy i ludzi, zastanawiał się, jak w przedwyborczym zgiełku uda mu się porozmawiać z zajętymi bardzo ludźmi, jak dotrzeć do pewnego człowieka, który na spotkaniu kandydata z tego okręgu — generała Kieniewicz z wyborcami, poparł gorąco tę kandydaturę. Znal generała, służył pod jego rozkazami.

Było już zupełnie ciemno, kiedy reporter dotarł do Nowej Huty i odnalazł tego człowieka, który — jak i jego żona — pracuje w komisji wyborczej. Ma czyste i stanowcze spojrzenie. Trudno z nim mówić, gdyż ciągle ktoś wchodzi do pokoju w zabłoconych, długich butach gumowych, wnosząc ze sobą chłód jesiennej wieczoru i gorąco spraw ważnych, nie cierpiących zwłoki. Sprawa ta, odtworzona ze strzępów przerywanej rozmowy, wygląda tak:

Kiedy porucznik Stefan Słysz wracał z wojny, kiedy wracał spod Berlina, to na rynku w Wadowicach jakaś jasnowłosa dziewczyna rzuciła mu z tłumy wiązankę kwiatów. Stefan Słysz wiele widział w swym życiu. Pochodził z Przemysła i pracował w nacie. Był przez dwa lata w ZSRR, potem wstąpił do wojska, gdzie z szeregowca doszedł do porucznika. Wiele widział i słyszał, ale nigdy nie zdarzyło mu się widzieć takiej miłej i ładnej dziewczyny jak Irena Porębska, nie słyszał tak melodyjnego głosu, jaki miała ona — ta właśnie, która rzuciła kwiaty nieznajomemu oficerowi, gdy ze swym samodzielnym batalionem łączności 6 dywizji wracał z frontu.

W sześć tygodni później — miała znów w rękach bukiet kwiatów — kiedy brała ślub ze Stefanem Słyszem. Mają pięcioro dzieci. Dwo-



je najmłodszych przyszło na świat już w Nowej Hucie, do której Słyszowie przybyli wtedy, kiedy było tu jeszcze pole i wierzby na wiejskiej drodze. Wierzby stoją jeszcze, pieczołowicie zachowane, ale szczytowego pola już nie ma. Na miedzach wyrosło nie zboże, ale domy. W jednym z nich Stefan i Irena Słyszowie mają trzy pokoje z kuchnią i łazienką. Jak się nazywają Wasi najmłodsi — ci, którzy urodzili się w Nowej Hucie? Chłopcu jest Stefan — jak ojcu, a dziewczynka nazywa się Sulika. Dobre imię, prawda? Inne dzieci to Marysia, Kasia, Irka, Małgosia i Krysiu — ale Sulika? Powiedźcie, skąd wzięliście to imię?

— Żyje nam się dobrze i szczęśliwie. Dzieci chowają się nad podziw. I tak myślałem, że gdy kiedyś będę miał córkę, to nazwę ją imieniem z takiej starej, gruzińskiej pieśni, którą śpiewali towarzysze broni pod Berlinem i którą śpiewają jeszcze i teraz majstrowie, przyjeżdżający tu z dostawami dla naszej budowy. To pieśń „Suliko”. I wiecie, co mi powiedzieli ci żołnierze i robotnicy radzieccy, którzy nauczyli mnie tej pieśni? Powiedzieli: To jest pieśń z Gruzji, pieśń, którą lubi Stalin.

chłych czasach z taką swadą i znajomością rzeczy, z jaką my mówimy o czymś, co wczoraj było w gazecie.Bo widzi pan, Płutarch pisze o tej pasjonującej sprawie w interesujący sposób, ale różni tłumacze to poprzekreślali. Otóż Krassus był najbogatszym człowiekiem w Rzymie, gdyż posiadał wiele domów czynszowych. Pan zresztą może pamiętać, jak to się dla niego ile skończyło?”

— Pamiętam jeszcze, panie profesorze: uczyłem się tego w gimnazjum. Ale z tym Krassusem to stare dzieje — chyba za 2 tysiące lat temu?

— Coś koło tego. Mam teraz nowe spojrzenie na różne stare sprawy. Zamieniam wstępy do tekstów klasycznych, gdyż nauka poczyniła wielkie postępy, ujawniono wiele nowych faktów z zamierzliwej przeszłości. Szczególnie przydają mi się dane z pracy W. S. Siergiejewa „Historia Starożytnej Grecji” i J. A. Lencmana „O miejscu Homerowego niewolnictwa”.

Nazwisko prof. Tadeusza Sinko znane jest dobrze filologom klasycznym całego świata. Polski uczynek w ciągu 75 lat swego życia napisał 734 pozycje naukowe. Jest tytularnym członkiem PAN. Mówi, że czterdziestu uczonych polskich otrzymało tę godność, do której przywiązana jest stała, miesięczna pensja Prof. Sinko mówi, że ta dbałość o los uczonych cechuje rząd ludowy od pierwszej chwili wyzwolenia.

Wróćmy znowu na ludne ulice Krakowa w niedzielny poranek 26 października 1952 roku. Rozmowa z uczonym ruszyła z wspomnienia



stare teksty, przyswojone kiedyś w szkole. Jak natrętna melodia krąży uporczywie po głowie — a zwłaszcza to, co powiedział swym kolegom młody Adam Mickiewicz:W ksiąg greckich, rzymskich stęki włazę, nie żębyś gnął; byś bawił się jak Greki, a jak Rzymianin był...”

CYGAŃSKIE SKRZYPCE



CYGAN rodził się ze skrzypcami w rękę. Potem wędrował. Poprzez pola i lasy, poprzez waie i miasta skrzypiały koła cygańskich wozów alarmując szczekaniem uwiązanych między osiami psa. Smagli, mówiący niezrozumiałym językiem mieszkaczy wozów otaczani byli przez ludność osiadłą uczuciem, na które składał się lek, pogarda i lekceważenie. Mężczyźni: kotlarze, grajkowie, koniokradzy. Kobiety: wróżki, tancerki i śpiewaczki.

Oderwani od epoki wiekli się Cyganie z kraju do kraju, śpiewając pieśni wyniesione przed wiekami z głębi Azji. Takie pieśni śpiewała zapewne na placu przed katedrą Notre Dame w Paryżu Cyganka Esmeralda, w której kochał się potworny Quasimodo, takie pieśni znała zapewne słynna Marfa, która miała wyrzucić Hitlerowi niesławny koniec. Cygańskie pieśni zachowały melodie nabrzmiałe smutkiem i tęsknotą, melodie śpiewane przez Cyganów więzionych w lochach świętej Inkwizycji i w barakach Majdanka, melodie grane w gabinetach petersburskich knajp i w mrocznych oberżach, rozrzuconych na węgierskiej puszczy. Cyganie jeździli przez całe życie: kiedy Cygan zatrzymywał się na stałe, to tylko na Ostatni Postój. Grały nad mogiłą cygańskie skrzypce i znowu tabor ruszał w drogę.

26 października, 1952 roku. Nowa Huta koło Krakowa, Polska. Tego dnia Cyganie starannie się golili i prasowali swoje nowe, ze stałej pensji kupione ubrania. Kobiety gotowały śniadanie na gazowych kuchenkach i również wyciągały z szaf odświętne stroje. Dzieci brykały w mieszkaniach, czekając na chwilę wyjścia, rozkrzyczane i wesołe — jak zwyczajnie dobrze odżywione i zdrowe dzieci. Wreszcie mężczyźni sięgnęli po swe skrzypce i basy, strolili je długo i dokładnie. Potem sprawdzali raz jeszcze, czy mają przy sobie karty melunkowe — pierwsze od pokoleń dowody stałego zamieszkania.

Wreszcie ruszyli w drogę — razem jak zwykle, ale bez wozów i koni, bez szczekającego psa. Droga była krótka: trzeba z mieszkanką przejść kilka ulic do komisji wyborczej.

Szli Cyganie ulicami socjalistycznego miasta i ludzie uśmiechali się do nich przyjaźnie, znajomi towarzysze pracy wołali ich po imieniu, a milicjanci na rogu zatrzymali pedzający samochód, aby dać wolne przejście rozdokazywanym cygańskim dzieciom. Przodem szła kapela, za nią kowale, robotnicy ziemi, murarki i metalowcy; Cyganie szli razem, aby po raz pierwszy od wieków głosować — jako pełnoprawni obywatele ziemi, która ich przytuliła. Na czele szła młoda ZMP-ówka Irena Gabor, przodownica pracy w kombinacie Nowa Huta. Miała aż wypieki z przejęcia i kiedy w gardłowym języku nawoływała swych rodaków do zachowania sztyku marszowego, nikt by nie dał wiary, że gdyby nie nasze czasy, to Irena Gabor wróciłaby kucharkom z zatuszowanych kart, albo włóczyłaby się z wędrowną orkiestrą.

— Przelóżcie mi na polski słowa tej pieśni, którą gra kapela!

— Teraz grają starego czardasza. Melodia stara, ale słowa mamy nowe: „Powiedźcie Cyganie, co mamy teraz robić? Czy mamy wędrować, czy też mamy pozostać? Czy tu nam żyć przyszło, czy znowu ruszyć w drogę? Powiedźcie skrzypce, co mówi serce moje?”

Melodia na chwilę się urwała. Zagrano znów już przed samym lożem wyborczym. Tłum Cyganów rozciągnął się w długi szereg, aby przejść przez drzwi.

— Teraz grają marsza weselnego. Melodia stara, ale słowa mamy nowe: „Grajcie skrzypce, że tu żyć dobrze, że Cygan tu zostaje. Grajcie skrzypce, powiedźcie to, co mówi serce moje”.

Prymas kapeli dał znak smyczkiem. Melodia zamilkła w pół taktu. Cyganie poszli do urn. Cygan rodzi się ze skrzypcami w rękę. Potem chodzi do szkoły ze wszystkimi dziećmi. Nauczy się zawodu i będzie pracował, poważany i szanowany jak ci wszyscy, którzy nie szczędzą trudu rąk i umysłów dla lepszego jutra. Po pracy Cygan sięga po skrzypce, które mówią to, co mówi serce jego.

LUCJAN WOLANOWSKI

MUZO, MEŻA OPIEWAJ...

MIASTO zbudziło się we mgle. Kiedy z Rynku widać już było wynurzająca się z białej waty koronę na Wieży Mariackiej, kiedy otrąbiono siódmą rano, w małym mieszkaniu w dzielnicy Zwierzyniec powstał od zawałonego papierami biurka starszy mężczyzna o czerstwej cerze. Zjadł szybko śniadanie, uporządkował swe szpagary rozrzucone po całonocnej pracy, ubrał się i w mglisty poranek pospieszył krętymi schodkami na ulicę.

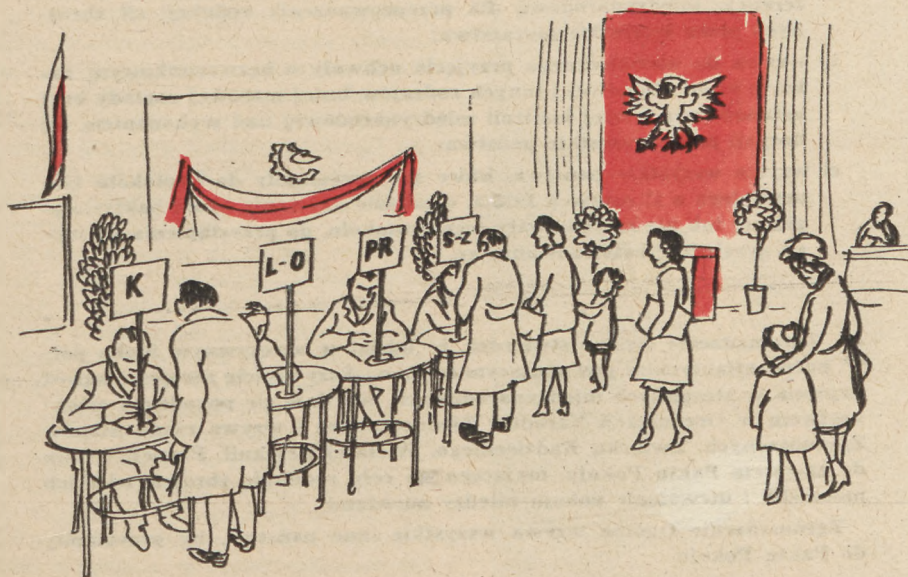
Lokal wyborczy mieścił się w szkole. Organizacja była sprawna...

— Wasze nazwisko, obywatelu?

— Sinko. Tadeusz Sinko.

Laureat Nagrody Państwowej I stopnia, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Tadeusz Sinko spełnił swój obywatelski obowiązek i wrócił do przerwanej pilnej roboty. Spieszy mu się bardzo, gdyż „Ossolineum” we Wrocławiu czeka na obiecany wstęp do Odysei, przygotowywanej obecnie w trzecim powojennym wydaniu w nakładzie 10.000 egzemplarzy. Tu, o kilka kilometrów od zgiełku Nowej Huty, wertowana jest i udostępniana wszystkim współczesnym mądrość wieków. Prof. Sinko jest „na ty” z ludźmi, którzy żyli dawno, dawno temu. Opowiada reporterowi o zamierz-

Rys. Karol Ferster (Charlie)



W Komisji Obwodowej na Mariensztacie



GŁOS POLSKI W OBRONIE POKOJU

14 PAŹDZIERNIKA br. rozpoczęła się w Nowym Jorku VII sesja Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. Po raz siódmy przystąpiła do pracy organizacja, z której powstaniem ludzkość łączyła po ostatniej wojnie wielkie nadzieje utrzymania i utrwalenia pokoju, pokojowego rozstrzygnięcia problemów międzynarodowych.

W ciągu siedmiu lat istnienia ONZ nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Rząd Stanów Zjednoczonych drogą nacisku politycznego i gospodarczego podpoządkował sobie rządy szeregu krajów i przez zmontowanie w ten sposób automatycznej większości w ONZ zmierza do całkowitego przekształcenia tej organizacji w narzędzie agresywnej polityki.

Nie mniej jednak w sesjach ONZ biorą udział przedstawiciele kilku krajów obozu pokoju i z trybuny rozlegają się na cały świat słowa, demaskujące agresywną politykę USA i ich satelitów, słowa, ukazujące ludzkości drogę do utrwalenia pokoju. Przemówienia delegatów ZSRR, Polski, Czechosłowacji, Ukrainy i Białorusi wprawiają w zakłopotanie przedstawicieli obozu imperialistycznego, którzy wprawiają w zakłopotanie przedstawicieli obozu imperialistycznego, którzy wprawiają w zakłopotanie przedstawicieli obozu imperialistycznego, którzy wprawiają w zakłopotanie przedstawicieli obozu imperialistycznego.

Na jednym z posiedzeń Zgromadzenia Ogólnego ONZ wystąpił z niezwykle ważnym przemówieniem przewodniczący delegacji polskiej, minister Stanisław Skrzyszewski. Przedstawił on zgromadzonemu społeczeństwu polskiemu w pokojowym budownictwie i niezłomną wolę naszego narodu utrzymania i utrwalenia pokoju. Następnie min. Skrzyszewski obszernie scharakteryzował siły, zmierzające do rozpętania nowej

wojny — amerykański imperializm, przygotowujący w Niemczech zachodnich i Japonii bazy dla przyszłej agresji, torpedujący wszelkie próby rozbrojenia, zakazu broni atomowej, zawarcia Paktu Pokoju między pięcioma wielkimi mocarstwami i pokojowego rozwiązania sprawy koreańskiej.

W zakończeniu swego przemówienia min. Skrzyszewski stwierdził:

„Wysuwamy zagadnienia dotyczące zakończenia działań wojennych w Korei, rozbrojenia, zawarcia paktu pokoju przez wielkie mocarstwa i zakazu broni masowej zagłady. Wysuwamy je dlatego, że uważamy, iż istnieje możliwość pokojowej współpracy między krajami o różnych systemach politycznych. Wielokrotnie już kraje socjalizmu podkreślały możliwość tego współistnienia i czynem dawały temu wyraz. Wysuwamy je jako delegacja kraju, który już ofiarą brutalnej agresji i którego naród doznał okrucieństw wojny w stopniu, jaki niewiele narodów w swej historii zaznało.

„Dziś, gdy nasze rany się zblizniają, gdy na dawnych zgłiszczach budujemy nowe życie, wysuwamy jako naczelny postulat naszej polityki zagranicznej walkę o zagwarantowanie naszej niepodległości przez zagwarantowanie pokoju“.

Minister Skrzyszewski złożył równocześnie w ONZ polski projekt rezolucji w celu utrwalenia pokoju i współpracy międzynarodowej.

Rezolucja ta, którą poparli w pełni przedstawiciele ZSRR i Czechosłowacji w ONZ przyjęta została z uznaniem przez miłującą pokój ludzkość. Jest ona jeszcze jednym dowodem niezmiennie pokojowych dążeń naszego narodu i rządu.

Rezolucja polska została włączona do porządku dziennego obrad Zgromadzenia Ogólnego ONZ.



St. Skrzyszewski

REZOLUCJA POLSKA NA VII SESJI ZGROMADZENIA OGÓLNEGO ONZ

1 Zgromadzenie Ogólne biorąc pod uwagę fakt, że wojna w Korei trwa już trzeci rok, powodując ogrom cierpień i zniszczeń, zaleca stronom walczącym w Korei:

- a) natychmiastowe zaprzestanie działań wojennych na lądzie, na morzu i w powietrzu;
- b) repatriację wszystkich jeńców zgodnie z normami międzynarodowymi;
- c) wycofanie z Korei wojsk obcych, w tym również chińskich oddziałów ochotniczych, w okresie 2—3 miesięcy, oraz pokojowe uregulowanie sprawy koreańskiej w duchu zjednoczenia Korei, które winno być dokonane przez samych Kореаńczyków, pod nadzorem komisji, z udziałem bezpośrednio zainteresowanych stron i innych państw, w tym również państw nie uczestniczących w wojnie w Korei.

2 Zgromadzenie Ogólne, dążąc do zapobieżenia groźbie nowej wojny światowej:

- a) zaleca rządowi Stanów Zjednoczonych, Związkowi Radzieckiemu, Wielkiej Brytanii, Francji i Chin — stałym członkom Rady Bezpieczeństwa — zmniejszyć o jedną trzecią w okresie jednego roku swe siły zbrojne i przedstawić wyczerpujące dane o swych zbrojeniach oraz zaleca Radzie Bezpieczeństwa zwołać w jak najkrótszym czasie konferencję międzynarodową dla przeprowadzenia redukcji sił zbrojnych przez wszystkie mocarstwa;
- b) wzywa do niezwłocznego przyjęcia uchwały o bezwarunkowym zakazie broni atomowej i innych rodzajów broni masowej zagłady oraz ustanowienia ścisłej kontroli międzynarodowej nad wykonaniem tej decyzji przez wszystkie państwa;
- c) wzywa wszystkie państwa, które nie przystąpiły do Protokołu Genewskiego z 17 czerwca 1925 r. o zakazie używania broni bakteriologicznej lub nie ratyfikowały tego protokołu, do przystąpienia do niego, względnie ratyfikowania go.

3 Zgromadzenie Ogólne stwierdza, że udział w agresywnym bloku północno-atlantycznym, powodującym coraz większy wyścig zbrojeń i wzrost napięcia w stosunkach międzynarodowych, nie daje się pogodzić z członkostwem w Organizacji Narodów Zjednoczonych i wzywa rządy Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii, Francji i Chin do zawarcia Paktu Pokoju, mającego na celu redukcję zbrojeń wielkich mocarstw i utrwalenie pokoju między narodami.

Zgromadzenie Ogólne wzywa wszystkie inne państwa, by przystąpiły do Paktu Pokoju.

WSZYSTKO PO RAZ PIERWSZY

Fotoreportaż „Świata” z Albanii

GDY wkrótce po wyzwoleniu Albanii zwiedzał ten kraj Ilja Erenburg, reportaż znakomitego pisarza zaczął się od słów: „W tym kraju wszystko dzieje się po raz pierwszy”.

Uwaga Erenburga była niezwykle trafna; dopiero po wyzwoleniu zaczął grać w stolicy Albanii pierwszy narodowy teatr, zbudowano pierwsze linie kolejowe. Po raz pierwszy ziemia stała się własnością chłopów, którzy ją uprawiają, po raz pierwszy wprowadzono powszechne nauczanie. I wielkości tych przemian nie zmniejszają małe rozmiary Albanii — kraju o powierzchni 27,5 tys. kilometrów kwadratowych i ludności 1,2 miliona.

Jedno istniało w Albanii od wieków: dążenie do wolności. Gdy naród albański po długotrwałych walkach wyzwolił się w 1913 r. spod 450-letniego panowania Turków, kraj opanowali kapitaliści Włoch i Austrii, Anglii i Niemiec. Po wojnie światowej anglo-francuski kapitał odstąpił Albanię jako protektorat Włochom, osadzając na tronie niemieckiego księcia. Powstanie ludowe zniósło ten reżim. Republika istniała krótko — namiestnik obcego kapitału Achmet Zogu ogłosił się w 1928 r. królem Albanii. I wreszcie, by nie dopuścić do dalszej infiltracji niewłoskiego kapitału, wojska Mussoliniego w 1939 r. zajęły Albanię. W górach powstały wtedy oddziały partyzanckie, liczące pod koniec wojny 70 tysięcy żołnierzy. Na czele ich stał Enver Hodża.

Po wyzwoleniu kraju w roku 1944 nad narodem albańskim ponownie zaczęły się zbierać chmury: tito-faszyści przygotowywali aneksję Albanii przez Jugosławię. Dopiero zdemaskowanie zamiarów kliki titowskiej zapewniło Albanii niepodległość, a pomoc ZSRR umożliwiła rozbudowę gospodarki i oświaty.

Zrealizowanie planu dwuletniego przyniosło Albanii odbudowę zniszczonych wojennych (straty w czasie wojny: 28 tys. zabitych, cały przemysł zniszczony, 37% domów spalonych). Realizowany obecnie plan pięcioletni przekształci Albanię z kraju rolniczego w kraj rolniczo-przemysłowy oraz zlikwiduje całkowicie analfabetyzm (w roku 1944 było jeszcze w Albanii 85% analfabetów!).

Albania posiada cenne bogactwa mineralne: ropę naftową, węgiel, rudy miedzi, chromu, aluminium. Szczególnie dużo jest ropy — albański przemysł naftowy rozwija się w bardzo szybkim tempie. W odległości 120 kilometrów od Tirany powstaje obecnie miasto i wielki kombinat naftowy, noszący imię Stalina. Albańscy robotnicy i technicy montują nowoczesne urządzenia wiertnicze i rafineryjne sprowadzone z ZSRR. Za sprzęt ten nie jest w stanie zapłacić Albania ani teraz, ani za rok czy dwa. Dlatego Związek Radziecki udzielił Albanii długoterminowych kredytów. Radzieccy specjaliści uczą Albańczyków nowych metod pracy.

W całej Albanii znane jest nazwisko Veli Allaibe, czołowego przodownika pracy w przemyśle naftowym. Do niedawna robotnik bez kwalifikacji — jest obecnie kierownikiem najlepszej brygady w kombinacie im. Stalina.

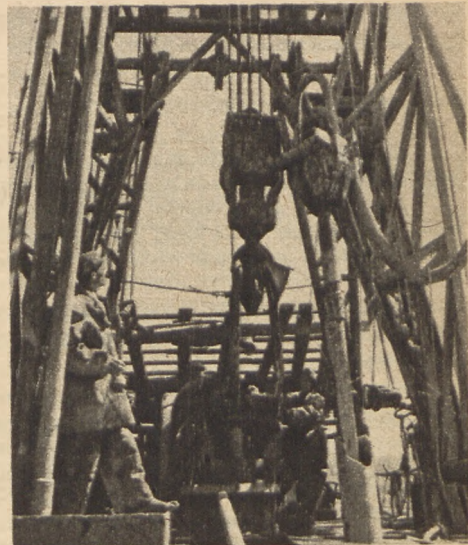
W nowym mieście przy kombinacie naftowym buduje się elektrociepłownię, powstało pierwsze w Albanii technikum naftowe, teatr, klub, szkoły i przedszkola. Robotnicy, którzy przed pięciu laty nie widzieli jeszcze nigdy kolei żelaznej, dziś mieszkają w zelektryfikowanych domach, obsługują skomplikowane maszyny, uczą się i chodzą do teatru.



Dzieci robotników kombinatu naftowego imienia Stalina mają zapewnioną dobrą opiekę w miejscowym przedszkolu.

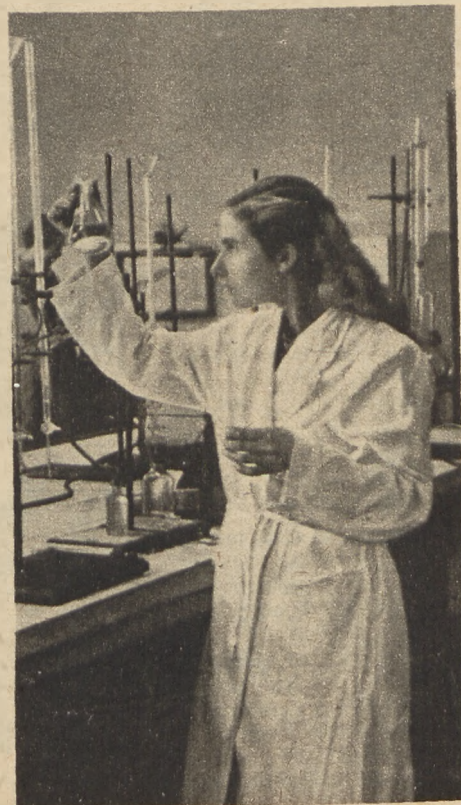


Kierownik czołowej brygady wiertaczy, Veli Allaibe, w rozmowie z młodziejką Kristiną Vechi, kierowcą ciężkiego ciągnika, obsługującego teren budowy.

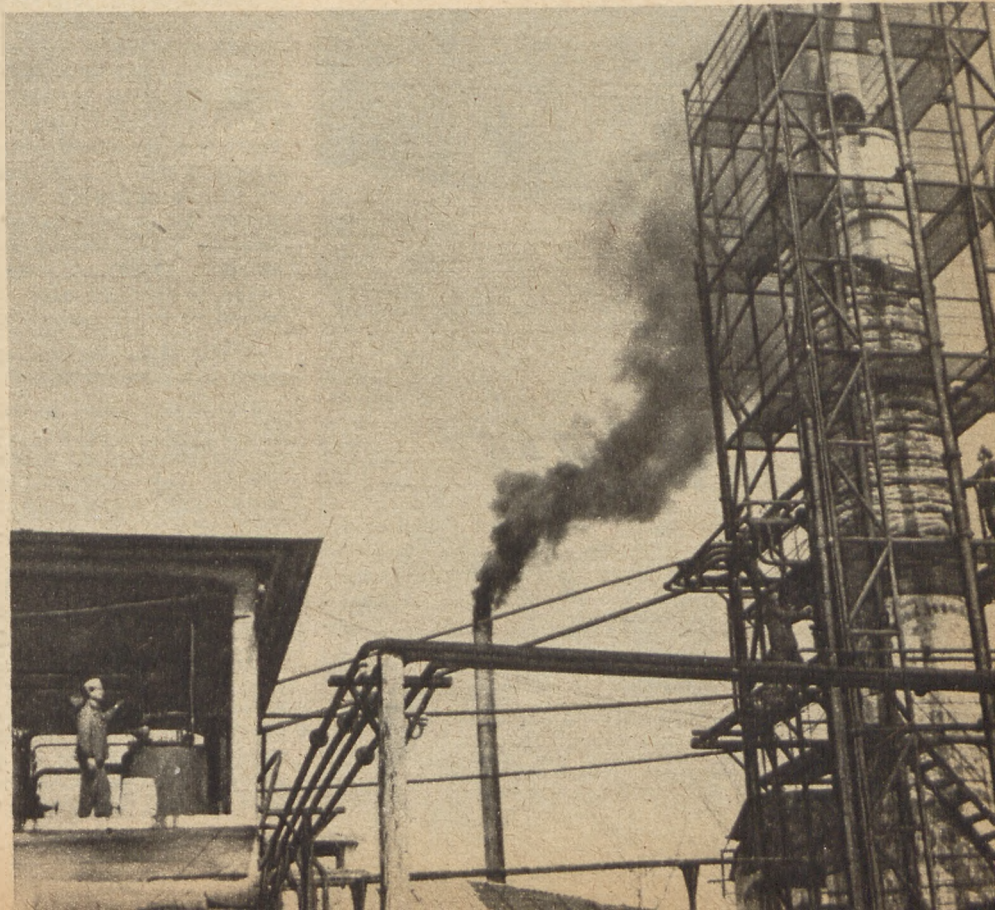


A oto „gospodarstwo” Veli Allaibe — wiercenie nowego szybu naftonośnego.

W laboratorium chemicznym kombinatu pracują już absolwenci technikum.



Fragment jednej z rafinerii w kombinacie im. Stalina. Urządzenia i maszyny dla kombinatu otrzymała Albania z ZSRR w ramach długoterminowych kredytów.





Murzyn Izaak Woodward walczył za Stany Zjednoczone, zdobywając odznaczenia. Policja, strzegąca niewolniczego ustawodawstwa, wytubiła mu oczy. Zapłacono...



Amerykańska „demokracja” umożliwia każdemu gwałtowną śmierć za winy niepopelnione. To zdjęcie jest jednym z dowodów, dołączonych do memorandum Kennedy’ego, przedłożonego w ONZ: zwłoki dwóch małżeństw murzyńskich, zabitych w Monroe przez oddział egzekucyjny Ku Klux Klanu. Ich „przestępstwo”: ciemna skóra.

R A P O R T

nisany krewią

— Co was skłania do myślenia, że ktoś was wyspie, jeśli użyję waszego nazwiska w tym opowiadaniu?

— No, oni — sami wiecie! Znają moje nazwisko i — człowieku, znacie tych ludzi z Południa. Oni — oni nie lubią, gdy ktoś opowiada historie o ich obozach terpentynowych.

— Czy myślicie, że gdyby wiedzieli, że jesteście wmieszani w opowiadanie historii o terpentynie, to wzięliby się za was?

— Naturalnie że tak — gdyby się tylko dowiedzieli. Zakładam się z wami, że gdyby ten człowiek tam w górze szosy wiedział, że mówię coś o jego obozie, przyszedłby wprost tam, gdzie pracuję, lub gdybyście wy tam poszli i wzięli jednego z jego ludzi z sobą — zabiłby was. Przyszedłby wprost tam i powiedziałby szefowi, że np. „ten taki owaki opowiada tu wokół ludziom historie o moich obozach. Postarajcie się go zatkać, inaczej go

Murzyni-niewolnicy mieszkają w warunkach znacznie gorszych od zwierząt pociągowych. Na fotografii widzimy dziecko murzyńskie pokasane przez szczury.



zabije, albo zabierzcie go stąd”. Zakład, że zrobiłby to. Nie znacie ich tak jak ja”.

Oto dlaczego Stetson Kennedy, nagrywając na taśmę dźwiękowej rozmowy z ludźmi pracującymi niewolniczo w Stanach Zjednoczonych, musiał zataić ich personalia. Nagrania te są jednym ze wstrząsających dokumentów, przedłożonych przez Kennedy’ego dla poparcia jego memorandum o pracy przymusowej w USA. Memorandum to zostało przedłożone do rozpatrzenia Specjalnemu Komitetowi do Spraw Pracy Przymusowej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Autor memorandum — postępowy pisarz amerykański, Stetson Kennedy — podaje m. in., że przeciętną ceną, za którą można kupić wolność, jest 200 dolarów.

Dokumenty dotyczą pracy przymusowej w przemyśle terpentynowym, drzewnym oraz na plantacjach w południowych i południowo - zachodnich stanach, gdzie setki tysięcy robotników — zarówno Murzynów, jak i białych — pracuje przymusowo. Tezy memorandum Kennedy’ego potwierdza zresztą w znacznej mierze taki urzędowy dokument, jak oficjalnie ignorowany i przemilczany „Raport Prezydenckiej Komisji do Spraw Wędrownych Robotników”, wydany w 1951 roku.

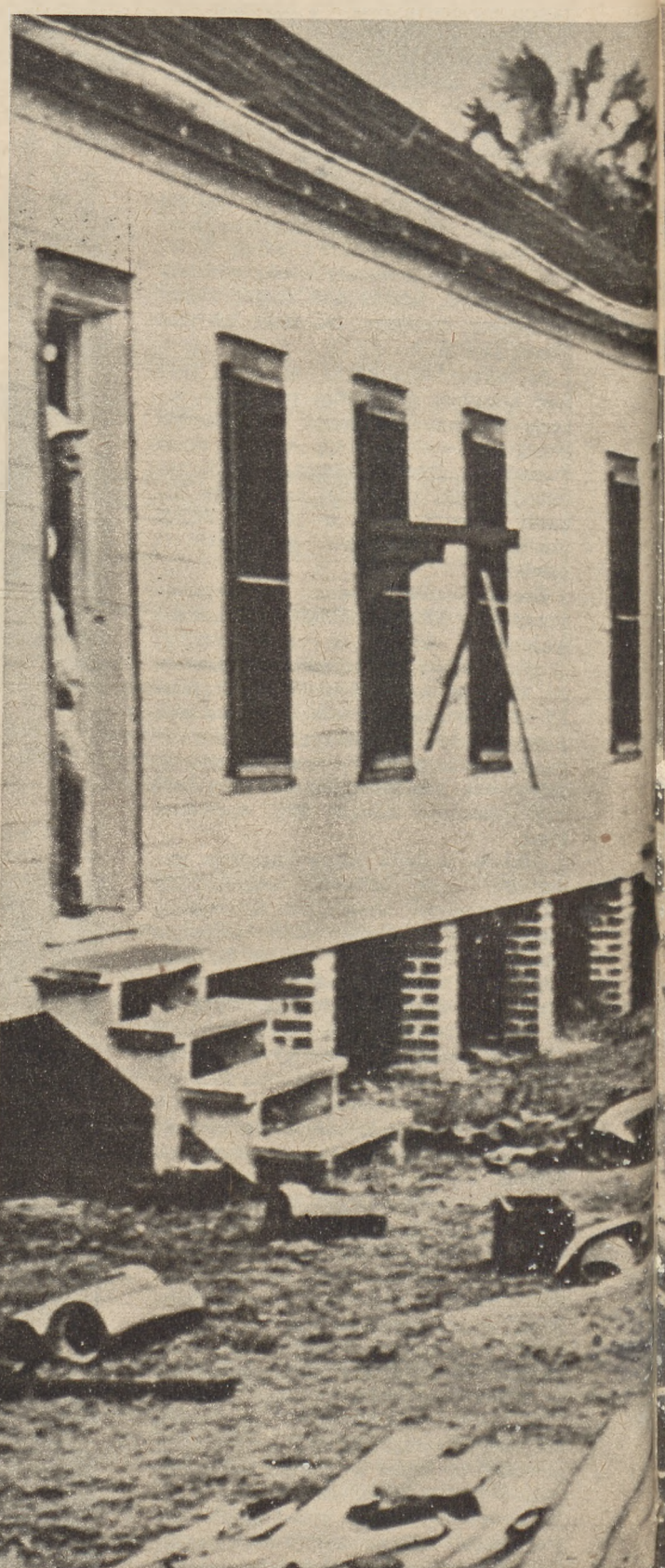
Oblicza się, że w USA jest 5.388.211 robotników przymusowych. „Charakterystyczne dla niewolnictwa XX wieku w Stanach Zjednoczonych — czytamy w memorandum — jest to, że dokumenty, na straży których stoi jedna czy kilka instytucji rządowych, zastąpiły tradycyjne rekwizyty niewolnictwa: bicz i łańcuch”. Najczęstszym sposobem zmuszania człowieka do pracy jest użycie pretekstu... niezapłacenia przezeń długu. Stosuje się to zresztą również wobec białych, jak to miało miejsce np. wobec małżeństwa Messenger, które zostało skazane na 7 lat ciężkich robót za niezapłacenie długu w sklepiku. Osadzono również w więzieniu ich 17-letnią córkę, a dwie młodsze (12 i 10 lat) córki oddano do adopcji przez obcych ludzi.

A oto kilka suchych doniesień prasowych, cytowanych przez memorandum za gazetami USA:

Clarksdale (stan Missisipi). Murzyn James Wiggins oświadczył, że on sam i jego żona byli zmuszeni pod groźbą pistoletu do pracy u białego nazwiskiem J. S. Decker. Gdy usiłowali zbiec, zostali pojmani, zakuci w kajdany i wystawieni na sprzedaż za 175 dol.

Okręg Lauderdale (stan Missisipi). Właściciel tartaku pod groźbą rewolweru zmuszał do powrotu zbiegłego z pracy Murzyna. Żądał, aby ten odpracował u niego rzekomy dług w wysokości 20 dolarów. W nocy przykuwał Murzyna łańcuchem za szyję do łóżka.

Sandersville (stan Georgia). Szef policji zarządził, by wszyscy Murzyni powyżej 16 roku życia nosili odznaki z uwidocznionym nazwiskiem pracodawcy i godzinami pracy. Dodatkowo zarządził, by wszyscy Murzyni w mieście zgłaszali się co środę do pracy na roli bez względu na charakter ich stałego zatrudnienia. Opornym zagroził więzieniem.



Kiedy robotnicy przymusowi odmawiają pracy dla prywatnych przedsiębiorców, kupujących ich od policji, to czeka ich

DWIE WOJNY W KOREI



Woodrow Shropshire nie chciał być niewolnikiem! Za karę osadzono go w więzieniu i przykuwano do kraty na 10 godzin dziennie. Na skutek tego — amputacja nóg.



Miedzy tymi Murzynami znajduje się jeden z informatorów autora memorandum. Nazwisko — zatajone dla ocalenia go przed represjami. „Mieszkanie” — bez okien.



zakucie w kajdany i katorżnicza robota w którejś z „powiatowych grup łańcuchowych”. Tych pięciu Murzynów zastrzelono, kiedy w obozie więziennym w Brunswick, w stanie Georgia, odmówili pracy w dole z jadowitymi węzami.

„10 tygodni w Korei” — jest zbiorem reportaży, które razem składają się na — jeśli tak można nazwać — opowieść dziennikarską o dwu wojnach w Korei: o wojnie sprawiedliwej, prowadzonej przez naród koreański w obronie swego życia i wolności, oraz o wojnie zbrodniczej, „wojnie amerykańskiej”.

„Wojna koreańska — pisze Korotyński — nie tylko zdziera maskę z twarzy zbrodniarza. Wojna koreańska wskazuje także ogromne siły, jakich dobywa nawet mały naród, gdy broni świętej sprawy wolności, gdy broni ojczyzny”. Oto dwie kanwy, na których Korotyński snuć będzie swoje dramatyczne, często wstrząsające opowiadania o bohaterstwie i o zbrodni.

Wrażenia, spisywane przez autora już od momentu przekroczenia granicy chińsko-koreańskiej, uderzają siłą autentyzmu. Szosy, którymi ciągną na front kolumny samochodów, ludność dążąca z tobołkami na plecach do bezpieczniejszego miejsca pobytu, ruiny miast, zwęglone szczątki wiejskich chałup — jakże to znane polskiemu czytelnikowi obrazy.

„Uczennice szły do szkoły, żeby pomóc nauczycielom i rodzicom — miłe skośnookie, pyzate dzieciaki. Gdyśmy z nimi o tym gawędzili, częstując je polską czekoladą, nadleciały trzy samoloty. Spostrzegły nas, zawróciły i z niskiego lotu — jedna, druga, trzecia seria z karmów. Rozproszyły się dzieciaki jak stado piskląt, skryły, gdzie które mogło, pod drzewa, w ryż, między kraaki, przywarły do ziemi i z biciem maleńkich serc czekały nowego ataku. Ale samoloty poleciały dalej, po nowy żer. Na „placu boju” została dziesięcioletnia dziewczynka koreańska, której nóżki przeszły mordercze kule”. Czy scena ta nie jest jak gdyby żywcem wzięta z września 1939 roku? Taka była wojna hitlerowska, taka jest amerykańska wojna w Korei.

Jednakże niebawem autor wskaże na różnice pomiędzy naszym wrześniem, a koreańską jesienią 1951 roku. Polska, zdradzona przez kapitalistyczny rząd, poniosła klęskę. Korea walczy i zwycięża. Pod wodzą ludowego rządu i partii skupił się cały naród koreański do walki z najeźdźcą. W kilkunastu reportażach z pasa przyfrontowego, ze szpitali, szkół, ukazuje Korotyński porywające fakty bohaterstwa, poświęcenia, nieugiętej woli walki aż do zwycięstwa, która przenika każdego żołnierza koreańskiego, każdą kobietę, a nawet każde myślące dziecko.

Osobny reportaż poświęca Korotyński ochotnikom chińskim — maluje ich braterstwo z armią koreańską, ich sprawność bojową, ich głębokie przekonanie, że walcząc w Korei tłumia zarzewie agresji, która mogłaby rozprzestrzenić się na ich kraj i na cały świat.

Ostatecznym celem podróży autora było wzięcie udziału, w charakterze sprawozdawcy prasowego, w rokowaniach rozejmowych w Kaesongu — ale przedsmak amerykańskiego businessu wojennego uzyskał jeszcze przedtem, przeprowadzając szereg rozmów z wziętymi do niewoli piratami powietrznymi USA. Byli tam ludzie kompletnie zezwierceni, byli ludzie otumanieni jadowitą propagandą wojenną, byli wreszcie żołnierze, których obowiązkowa służba przypadła na okres wojny koreańskiej, a którzy nie mogą się pogodzić, że kazano im strzelać do spokojnych, bezbronných starców, do kobiet i dzieci. I tych jest najwięcej — walczą, nie widząc żadnego usprawiedliwienia „akcji koreańskiej”, są „złymi” żołnierzami.

Notatnik Korotyńskiego z Kaesong i Panmundżon — zamykający cykl reportaży, zawiera niezbite, na gorąco opisane dowody złej woli amerykańskiej delegacji wojaskowej, która pod ładą pretekstem, torpeduje pokojowe propozycje Korei i Chin. Nie dość tego! Oglądamy z bliska niesłychane prowokacje strony amerykańskiej w neutralnej strefie rokowań.

Kiedy autor reportaży odbywał podróż po Korei, Amerykanie nie popełnili jeszcze najcięższej zbrodni wojennej: w owym czasie nie używali jeszcze bomb bakteriologicznych. Sumienie dziennikarza, piszącego o wojnie na Korei, nie pozwoliło autorowi pominąć milczeniem tych niesłychanych aktów ludobójstwa — w książce wydanej w bieżącym roku znalazło się publicystyczne zakończenie, w którym Korotyński piętnuje ten szczyt barbarzyństwa, wynikający ze słabości imperia-lizmu, z przecucia nieuchronnej klęski.

M. AZEMBSKI

* Henryk Korotyński — „10 tygodni w Korei”, „Książka i Wiedza” 1952.

OJCZYŻNA

Napisane dla Krystyny Bilskiej

I

USTAŁ ruch widelców, noży, talerzy, zamarło dzwonienie kieliszków, uchwyciłem czyjeś usta otwarte jak rybi pyszczek i nagle stało się zupełnie cicho. Odstawiłem swój kieliszek, odbiłem się od stołu, oparłem dłońmi o kant, mglistym wzrokiem obrzuciłem stół — długi, biesiadny, gęsto obsadzony. Poczulem ogień w piersi.

— Obywatele — zacząłem i urwałem. Przez chwilę stojąc w miejscu drobiłem po cisy za brzegu nieznaną wodę. — Obywatele — podjąłem wreszcie — przyjaciele i towarzysze, nie mam nic do powiedzenia ponad to, co przy swoich toastach powiedzieli już inni. Ta noc pożegnalna jest nocą podobieństw, nie różnic. Nachyleni nad stołem biesiadnym spoglądaliśmy w studnię czasu, który jutro, nieczuli na krew, sami przetrniemy. Nie ma w tej studni nic z grozy owych starych przepastnych głębin, które przyprowadzają o zawrót głowy. Słodką to studnia, słodka mgła pokładła się nam na sercach, trudno je będzie dzisiejszej nocy utrzymać na smyczy. Czterdzięści osób przyszło tutaj, by pożegnać siebie, już nigdy nie zbiorą się w tym składzie. Czterdzięści osób zebrało się, by pożegnać miasto, które było dla nich jak matka. Nie jest miastem rodzinnym żadnego z nich i nie jest piękne, pomimo to kochają je i już na zawsze znajdzie się ono wśród tych niewielu miejscowości, które są im **ojczyzną**. — Panie majorze, czy zna pan ulicę Strzelecką na Pradze? To najpiękniejsza ulica na świecie! — Pamiętacie z książki Łozowskiego te słowa praskiego rymarza, który podczas wojny znalazł się nad daleką Oką? Podczas ostatniej wojny ludzie tęsknili za ojczystymi kątami jak za znajomym ciałem... I my szybko zaczęliśmy tęsknić za kasztanami w Alei Kościuszki, za widokiem ulicy Srebrnej z kominem jak lichtarz, za ulicą P. tak ciasną, że chciałoby się ją rozepchnąć. Kiedyś spotkana przypadkowo twarz z **tych lat** wzruszy nas do łez. Ani jedno włókno naszych serc nie próżnowało tutaj!

Jutro wielu z nas wyjedzie stąd. Pięć lat temu nie miłość sprowadziła nas. Najpiękniejsza z symfonii ziemskich — grom artylerii armii-wyzwolicielki otworzył przed nami zagadnienie, gdzie postawić nasze krosno, nasz stół do pracy, gdzie zamieszkać; Warszawa leżała strzaskana jak garnke. Sam osiadłszy na gruzach, by bezpośrednio pokierować „ogniem odbudowy“, rząd całą „drugą linię“ techniczną, administracyjną, artystyczną skierował na N., które teraz zegnamy. N. nie leżało w gruzach i znajdowało się blisko Warszawy. Nigdy nie posiadało uniwersytetu, nigdy żadnej wyższej szkoły, jego teatry nigdy niczym się nie wyróżniały, środowiska artystycznego nigdy tu nie było, nikt wybitny na długo tu nie zagrzebał miejsca, uciekał; nieprzyjemnie chodzić po ulicach, po których nie chodził nikt z tych, których kochamy, nikt z tych, co tworząc tradycję stanowią ziarno naszych dusz. Dla nas N. niewiele miało zalet. Nieskanalizowane, z rynsztokami na wierzchu, z tysiącami kominów, zadymione, ciśnie, drewniane, brzydkie, posiadało jednak wolne mieszkania po Niemcach, którzy uciekli. I mieszkania rozstrzygnęły. Stół do pracy? Nie bardzo nawet wiedzieliśmy, jak zabrać się do pracy po tym, cośmy mieli w sercu. Ale trzeba było gdzieś zamieszkać.

Pięć lat temu w pewien dzień zimowy po osiemnastu godzinach jazdy wysiadłem z ciężarówki, która przywoziła również trupę aktorów; i oni zjechali ze swym namiotem. Po raz pierwszy zna-

lałem się przed domem, który potem opisano w pieśniach, wyszydano w satyrze, obfotografowano i obrysowano ze wszystkich stron. W bramie natknąłem się na poetę K., anioła i potwora w jednej osobie: K. to anioł, gdy chodzi o uczynność, potwór, gdy wdać się z nim w rozmowę o literaturze, od razu się złości! Stał w bramie z rewolwerem w ręku. — Chrońcie twego domu przed „organizatorami“, inaczej nie zastałbyś nawet krzesła, musiałbyś pisać leżąc na podłodze jak poeta Niekrasow! — W przeznaczonych dla mnie dwóch pokojach nie brakło niczego. W trzydziestym dziewiątym hitlerowcy wyrzucili mieszkańców w ciągu godziny i osadzili swoich pocztowców. Pocztowcy opuścili je również w ciągu godziny, pozostawiając wszystko co zgrabili i w co następnie obrośli. Nie uciekli. Za miastem czołgi wgniotły ich w ziemię. Nienawiść czołgistów była na miarę ich bólu po tym, co widzieli w swoim kraju. Pocztowcy byli zapewne ludźmi systematycznymi i niewinnymi; straszna jest wojna! Człowiek, po którym otrzymałem mieszkanie, zostawił wszystko; meble i albumy fotograficzne, bieliznę i listy. Chorował na nos; w apteczce znalazłem przeróżne buteleczki i pipetki. Po raz pierwszy w życiu otrzymałem mieszkanie na własność. Poeta K. także. Poeta K. znał pół tuzina wiezień sanacyjnych, Berezę, w okresach swobody żył na „borg“. — Czemuś sobie wziął ciemne mieszkanie na parterze, człowieku? — spytałem go potem. — **Nie miałem śmiałości zamieszkać wyżej** — odpowiedział. Potem tego pierwszego dnia wyszliśmy na miasto, by zdobyć coś do jedzenia, co wcale nie było łatwe. Miasto świeżo wyzwolone było jeszcze głodne, ale we wszystkich kioskach leżały już numery „Odrodzenia“ z dużą fotografią naszej Zofii Nałkowskiej. Literaturę rewolucja uczyniła swą forpczta.

Nielatwo zapomnieć wiosnę i lato 1945 w N. Przeklęta niechaj będzie wojna, ale lata, które następują po niej, są niezwykle. Nie tylko ziemia opita krwią rodzi obficie, ale wszystko, co chodzi po ziemi, oddycha inaczej! Po latach nieżyłcia otwarto się oto bramy życia! Nabrano ono smaku jak po powrocie z cmentarza. Placząc, ludzie radowali się, a radując, płakali. Wstydząc się, czuli się przeciw szczęśliwi. Środkiem ulicy P. dzień w dzień ciągnęły małe wózki z dobytciem, pchane ręką świeżo wyswobodzonych więźniów, jeńców. W środek tych małych nędznych wózków wbite były sztandary o barwach narodowych; na pierwszym miejscu był sztandar, dopiero potem zaczynał się człowiek. O każdej godzinie dnia na środku ulicy ludzie ludziom otwierali ramiona i wybuchali płaczem, ale już następna chwila zmywała płacz z ich twarzy. Na małej ulicy Moniuszki mieszkali żołnierze ze wszystkich stron świata. Czerwona Armia uwolniła ich z obozów, ale na drodze do ich ojczyzn leżała jeszcze wojna. Mała uliczka Moniuszki słyszała słowa Pokój, Braterstwo, Przyjaźń Narodów — we wszystkich językach świata. Wierzyliśmy tym słowom. Chwała tej naszej naiwności!

Z odrodzoną wiarą w przemijalność wszystkiego co niskie i ciemne, ludzie wrócili do zajęć. Miasto, które nigdy nie miało uniwersytetu, otrzymało uniwersytet. Miasto, którego teatry nigdy nie miały się czym pochwalić, otrzymało teatry — pierwsze w kraju. Miasto, które nigdy nie posiadało środowiska artystycznego, otrzymało największe i najruchliwsze środowisko artystyczne w kraju.

Przez sześć lat korona ludzka leżała na śmietniku, teraz sięgnięto po nią, by

ją wyzłocić. Artyści zaczęli mówić za wszystkie lata milczenia, wykrzykiwać to wszystko, co zebrano się w ich piersiach. Inter arma silent musae, za to głos sztuki nigdy nie jest równie silny jak potem! Drga prawda, wszystko w nim prawdziwe, własne. Sztuka zaczyna mówić własnymi słowami, nie odkrusza już wczorajszych wyczerpanych, wybrakowanych złóż! Aniśmy się obejrżeli, jak fabryczne, brzydkie, z rynsztokami na wierzchu, miasto bez tradycji przekształciło się w miasteczko Odrodzenia. Na odcinku nie większym niż dwa, trzy przystanki tramwajowe, żyły trzy, cztery dziesiątki ludzi, z których żaden nie był pusty w środku. Nie przedstawialiśmy się właściwie śpytkać, nie tylko mieszkaliśmy razem — władzom łatwiej było znaleźć jeden dom niż czterdzięści mieszkań w czterdziestu różnych domach — piliśmy kawę w tych samych kawiarniach, wódkę w tych samych restauracjach. Wylewaliśmy za kolnierz! Wyglądało na to, że nic nie robimy, ale pracowaliśmy jak woły! Pracowaliśmy równie szczęśliwie! Za wysiłkiem nie zawiedliśmy się. W naszym zawodzie darzą się całe lata jak jedna wielka i ta plama, choćby były gęsto zapisane, lata takie, że usiąść i płakać. Tutaj każdy z nas miał bodaj kilka tygodni takich, które przyniosły mu rację bytu. Niektórzy mieli nawet całe miesiące szczęśliwe!

Pracowaliśmy dużo i żyliśmy dużo! Wiem, że rozśmieszysz was, gdy powiem, że za jedną z najszczęśliwszych okoliczności minionego czasu uważam właśnie to, na co najwięcej narzekaliśmy — **ciasnotę**. Podobnie było zapewne w miasteczkach renesansowych, wszyscy się nawzajem stale mieli na oku. Żyliśmy w kupie; gdy ktoś wytykał nos z domu, natrafiał na współzawodnika i zawistnika. Ale życzliwością artystów jest właśnie ich nieżyczliwość. Gdy kończyliśmy pracę, gdyśmy chowali skrypt lub odstawiali obraz olejem do ściany, by nie splamił go wzrok profana, we „Frasce“ czy w „Pickwicku“ z miejsca natrafialiśmy na wroga. Rozmawiając z nim lub nie, niemy dyskurs na temat odstawionej pracy nie milknął w nas. Widzieliśmy ją na nowo oczami współzawodnika, inaczej, bogaciej. W cudzych oczach odczytywaliśmy własne błędy, choć nie było o nich mowy; na tym polega tajemnica obcowania z ludźmi. Wzbogacają nas innym spojrzeniem, ruchem, grymasem. Gra ambicji, niemilknące polemiki — głośne czy nieme — na każdym kroku — nie pozwoliły na stojącą **wodę**, jak głupcy właśnie nazywali N. Nie, to nie była stojąca woda. Żyliśmy w wienku wyjątkowo szczęśliwych okoliczności. Czas współdziałał z nami. Zadania stawiane nam przez czas szły w parze z tymi, które sami sobie stawialiśmy. Ludzie chcieli słuchać tego, o czym my znowu chcieliśmy mówić. Nie było rozdźwięku, nie musieliśmy niczego rozumieć. Byliśmy silni własnymi wewnętrznymi treściami, sobą, siłą płynącą z tkanek naszych, nie tylko z głowy. Gdyby sztuka dało się robić głową, jej skład personalny w ciągu wieków wyglądałby inaczej.

Są ludzie, którzy psioczą na to, cośmy robili. Niech psioczą, zawsze psioczyli, widocznie tak być musi. Współczesnych nie stać na ocenę, jest to jedna z niewzruszonych prawd! Można pisarza porównać z Tolstojem, a malarza z Bonnardem, ale jest to tylko **ocena geograficzna**. Każdy wiek, każdy okres ma swoje własne elementy. Elementy te muszą wprawdzie ostygnać, aby je można było porównać z elementami sztuki dawnej, które już wytrzymały próbę czasu, już okrzepły. O tym, czy elementy należą do tych, które mogą okrzepnąć, czy przeciwnie, skazane są na zmarnienie

— nikt z góry nie wie. Niech więc psioczą!

W ciągu wszystkich minionych lat czuliśmy, że to jest właśnie to. Z lękiem, z niewiarą, z przekorą, ale przekonanie, że to nasza wielka godzina, nasze najszcześniejsze życie, raz po raz prześwitywało. Czuliśmy, że to nasze złote gody. „Co to za miasto, które składa się z jednej ulicy? Co to za miasto, gdzie nie można się wyłączyć, ukryć, gdzie wystarczy wyjść z pokoju, aby pośród zawisłości i kwasów temperatura twórcza natychmiast osiągnęła punkt zerowy. Kiedy zabiorą nas wreszcie z tego bocznego toru? Kiedy Warszawa się o nas upomni?“ Narzekając bez przerwy, czuliśmy przecież tuż tuż pod dźwiękiem tych słów, że gdy wreszcie upomną się, wezwą do nowych zadań, skończy się coś bardzo jedynego i niepowrotnego. Tak, wiedzieliśmy, że jesteśmy szczęśliwi. I jeśli narzekaliśmy, to w narzekaniu tym była jedna prawda, ta, że szczęście, gdy się przeciąga — także nuży, staje się mdłe.

Towarzysze, przyjaciele, miasta N. nie psuto nigdy w przeszłości pochwałami, niech mi więc będzie wolno w tej godzinie, gdy się rozstajemy, powiedzieć: kochaliśmy je! I niech mi także będzie wolno nisko mu się uklonić i podziękować za wszystko!

Gwałtownie otworzyłem oczy, byłem sam w pokoju. Nie było stołu biesiadnego, ani ruchu widelców, ani dzwonięcia kieliszków. Nikt nie sięgał po płaszczyk, nie było szynki, nie było napojów, nie było ludzi. Nie trzymałem kieliszka w ręku, nie wygłaszałem toastu, nie wyrzuciłem z siebie ani jednego słowa, ani jedno głośne słowo nie rozbiło cisy nocnego pokoju. Toast miał miejsce jedynie w moim mózgu i sercu. Od początku do końca był fikcją, choć nie był nią.

W szlafroku narzuconym na bieliznę stałem pod oknem, obrzucając zawartość pokoju oświetlonego słabym światłem małej lampy. W samym środku wznosił się kopczyk książek wyrzuconych z półek, sto drobniaków wyciągniętych z ich stałego miejsca leżało na widoku, skrzyżnie z odbitymi wiekami stały w kątach, tu i ówdzie złożyły się stosy wiórow, przygotowanych do pakowania. Jutro miałem opuścić N. i przeżywałem to wszystko, co przeżywa człowiek zmieniający jedno miejsce na drugie. Jutro miałem zanurzyć się w niepewnej rzece przyszłości. Burzliwy strumień myśli, który zwałił cienką ściankę snu i wyrzucił mnie z łóżka w pokój, już nie moim, choć jeszcze moim, ułożył się w ten niewygodny toast.

Panował chłód, kaloryfery dawno wystygły, lekko dygotałem. Była godzina trzecia w nocy, godzina najniższej żywotności ludzkiej, godzina umierania starców i płaczu dzieci, godzina, która zrodziła niejedną piękną strofę poetycką. Odgiąwszy zaslonę stwierdziłem, iż dom śpi; w żadnym oknie nie widziałem światła. Nie tylko ja jeden miałem jutro opuścić ten dom, jeśli więc ci, którzy mieli razem ze mną wyjechać, wygłaszali podobne toasty, uczynili to przedtem, albo uczynią później. Nie mogłem oderwać oczu od zanurzonych w złocisto-brunatnym świetle sprzętów, od sosnowego stołu, od krzesła i ścian. Dobrze mi służyły w ciągu pięciu lat. — Zegnajcie! Zegnajcie! — wołałem głucho w duszy. — Drżałem z chłodu, emocji i niepokoju.

II

Po osiemnastu miesiącach nieobecności w N. w pewien listopadowy wieczór wysiadłem na dworcu Fabrycznym. Było

po piątej, jesienią, mgliście, wilgotno, na ulicach paliły się już latarnie. Wstałem do sklepu spożywczego. Rumiana ekspedientka, grubo ubrana pod białym fartuchem, z sinymi z zimna rękami, ze śladami maki na twarzy, pozwoliła mi zadzwonić. Okazało się, iż sprawa, która mnie sprowadziła, wzięła szczęśliwy obrót i mój przyjazd nie był konieczny, byłem więc wolny. Zapowiedziałem się na nocleg późnym wieczorem i nieobarczony bagażem zabójczym dla przeżyć wewnętrznych, wyszedłem na miasto. Minąłem ulicę prowadzącą od dworca i wkrótce znalazłem się na P. — głównej ulicy miasta, długiej i wąskiej. Znajomy kształt domów, blask znajomych światła wystawowych, tłum, który wydawał się znajomy, choć nim nie był, zapalił w mej duszy coś bardzo uroczystego. Wkrótce znalazłem się u zbiegu dwóch ulic, P. i B., które stanowiły niegdyś jądro mojej tutejszej ojczyzny.

Zatrzymałem się na przeciw niedużej, brzydkiej kamienicy, która kiedyś była mi droższa od pałacu królewskiego, nigdy zresztą żaden pałac królewski nie przypisał mi o tak silne bicie serca. Okno, ongiś drogie dla mnie jak fotografia matki, świeciło się. Minąłem młodo oświetloną bramę, zalaśniętą chłodem kamieni i piwnic, minąłem schody i wciąż nie dowierzając sobie, zadzwoniłem. Po chwili w ciastym, pachnącym grzybami przedpokoju stanęła dziewczyna. Grzmot mnie ogłuszył; gdy minąłem, stwierdziłem, iż dominujący kolor tej najdroższej niegdyś twarzy — złoty, przemieszał się z czymś, co już nie było złotem, zupełnie tak, jak gdyby ktoś na stos jedwabiu rzucił żebro kurtkę. Znajomym ruchem poprawiła włosy, wyrzuciła ręce i natychmiast je cofnęła, wykonała sto ruchów osoby zaskoczanej. Wołając, że nie ma czasu, że zaraz nadejdą, że musi się uczyć, bo jutro ma egzamin, wprowadziła mnie do pokoju, który pamiętałem, i usiedliśmy pod dużą lampą z atlasowym abażurem, który także pamiętałem. Spoglądała na mnie wzrokiem roztargnionym i bystrym. Po stu chaotycznych pytaniach zadała wreszcie najważniejsze:

— Słyszałam, żeś się ożenił?

— Tak.

— I jesteś szczęśliwy?

— T-t-ak.

— A ty — wyszłaś za mąż?

— T-tak.

— I jesteś szczęśliwa?

— T-t-ak.

— Czy masz dzieci?

— Nie.

— Powinieneś mieć dzieci. Ja teraz wszystkich namawiam na dzieci.

— A ty?

— Ja nie mam jeszcze, ale będę miała. Jeszcze nie mogę.

— Słuchaj dziecko, dobrze tu u ciebie.

— Dobrze? — powtórzyła i roześmiała się śmiechem, który niegdyś mnie raził. Ale teraz, choć rozumiałem, że mógł mnie kiedyś razić, już nie raził.

— Dobrze, mówisz — wróciła do tego słowa z zupełnie zmienioną twarzą. — Ja, ja dopiero ostatnio rozumiałam, że jak tylko nie jest źle, to potem może być dobrze, a nawet bardzo dobrze.

Po niewielu minutach wyszedłem, wszystko musiało być tak jak było, choć wszystko równie dobrze mogło się potoczyć inaczej. Szedłem teraz do domu,

gdzie siedem lat temu po raz pierwszy czekał na mnie poeta K. z rewolwerem w ręku. Stwierdziłem, iż sklep spożywczy, gdzie dawniej robiłem zakupy, zmienił się przez ten czas w sklep cukierniczy; za ladą, w krótkim białym kitlu, stał nieznany mi sprzedawca, chudy i czarny jak Serb. Wkraczając do domu chciałem zobaczyć przede wszystkim jedyne człowieka — cudownego poetę, cudownego tłumacza starych Rosjan — Tertila. Na jego drzwiach zastałem jednak kartkę: Poszliśmy na Uniwersytet, wrócimy około dziewiętej. Zdziwiła mnie ta liczba mnoga zatwardziałego starego kawalera, nie znoszącego przy sobie żadnego żywego stworzenia, nawet psa, a cóż dopiero człowieka. — Czyżby poeta Tertil w czterdziestym roku życia

w ciągu ostatnich lat mieszkało co najmniej czterech ludzi, których nazwiska już na zawsze związane będą z dziejami realizmu socjalistycznego w Polsce.

— O kogo panu chodzi? — spytała służąca.

Zawstydzilem się. Nim otworzyła drzwi, powiedziałem sobie: cofnę czas, sprowadzę go do punktu, gdzie się teraz znajduje moje serce, które bardzo się trzepotało! To nie fraszka zatrzymać bieg czasu, położyć się w poprzek rwącego nurtu! Ale służąca nie dała się wciągnąć, nie nie rozumiała. Jeszcze chwila, a zamknęłaby mi po prostu drzwi przed nosem. Spytałem o Tertila. Wprowadziła mnie do pokoju skąpo

Wprowadziła mnie do pokoju skąpo



Rys. J. Grabiański

doszedł do wniosku, że jego właściwym przeznaczeniem jest dom, tłusta żona, dwa psy, troje dzieci, zapach pieluszek — i ożenił się? — Schodząc ze schodów równie wolno jak wchodziłem i zadając sobie to pytanie, natknąłem się na praczkę o urodzie z Goyi. — Patrzcie, to i pan przyjechał? — zawołała. Nie bardzo rozumiejąc jej okrzyk, spytałem o Tertila.

— Mieszka teraz w drugim domu na pierwszym piętrze. Po wyjeździe państwa wszyscy pozamieniali się mieszkańiami.

Po chwili znalazłem się w podwórzu cichym i pustym, dom robił wrażenie wymarłego, to uderzyło mnie jeszcze przedtem. Z półciemnych okien dawnego mieszkania poety K. sączyła się muzyka radiowa. Minąłem bramkę łączącą dwa domy, wolno wdrapałem się na schody i zatrzymałem się pod drzwiami z wizytówką Tertila. Za tymi drzwiami

oświetlonego, gołe ściany tonęły w ciemnościach, jedyna lampa przysłonięta jakąś szmatą stała na biurku, za biurkiem zaś siedział mój cudowny poeta Tertil w ubraniu. Wyciągając chudą szyję przez chwilę spoglądał na mnie niedowierzająco. Naraz zerwał się i buchając ciepłem i wzruszeniem przypadł do mnie:

— Kochany, kochany, wróciłeś?

— Tak.

— Przyjechałeś?

— Tak.

— Wpadłeś?

— Tak.

Posadziwszy mnie stanął nade mną i zacierał ręce, przyglądał mi się z topniejącą duszą w oczach. Potem usiadł naprzeciw mnie i musiałem mu ze wszystkimi szczegółami opowiadać o n-owskich ludziach na warszawskim

gruncie. Moje opowieści przerywał mi opowiadaniem o dawnych znajomych, którzy pozostali w N. Podczas tej rozmowy myślałem o jednym, że oto za chwilę wstanę, pójdę o piętro wyżej, gdzie niegdyś mieszkałem, usiądę w kuchni, zapalę małe światło, nastawię herbatę i zasiądę do pracy. Około dziesiątej zgaszę światło, pójdę coś zjeść, potem będę wracał samotną ulicą, a wróciwszy do siebie „złapie” jeszcze godzinę lub dwie pracy. Być także może, że jakaś gorętsza kwestia obudzi mnie o trzeciej nad ranem i zatrzyma przy stole do chwili, gdy za oknem zacznie się nieść pierwsze kroki rannej zmiany, spieszącej do fabryk. Brzeźkiem myśli, prawie szczęśliwy, połączę się z ludźmi za oknem.

Odżył miniony czas, jego aura przesyłała mnie słodyczą i miłością tak silną, że wprost nie wiedziałem, co z sobą począć. Również w Tertilu działo się chyba coś bardzo zbliżonego. Nie widzieliśmy się przez półtora roku i cudowny tłumacz starych Rosjan spoglądał na mnie sarnimi oczami, zaś głos jego często chrząkał. Czas i dla niego jak gdyby odwrócił kartę, przywrócił mu blask; obaj błyszczeliśmy i zmatowieliliśmy razem. Ostatnie miesiące nie były łaskawe ani dla mnie, ani dla niego.

— Powinieneś być pojechać z nami, drogi! — zawołał.

— Nie chciałem przecież, pamiętasz.

— Nie chciałem, bo zdawało mi się, że tu jest moje miejsce, że nie wolno mi ruszać mego stołu. Ale omyliłem się! Słuchaj, omyliłem się!...

— Nie, nie! — zaprzeczyłem gwałtownie. — To raczej myśmy się omylili. Nie dowiedzieliśmy tego, cośmy stąd zabrali! W drodze coś zgubiliśmy.

— Co? — spytał.

— Co? — powtórzyłem pytająco, i obaj gorzko roześmieliśmy się.

Zaczął narzekać, że N. stało się okropne, okropne, wszyscy marzą o przeniesieniu się. Potem jednak dodał, że w N. czuje się potężny rytm pracy. Powtórzył, jak to on, może z dziesięć razy słowa o potężnym rytmie pracy. — A to — dodał — bardzo pomaga, nakłada na człowieka obowiązek. Na to ja również powiedziałem, że w Warszawie dzieje się coś podobnego, „tylko aklimatyzacja w naszym zawodzie jest trudniejsza niż w innych, potrwa więc jeszcze może trochę, zanim odzyskamy blask!”

Po jakichś dwóch godzinach Tertil zrzucił płaszcz kąpielowy i udaliśmy się do dawnej kawiarni, przekształconej na bar. W barze w jaskrawym świetle zobaczyłem naraz to, co miękkie światło u niego w pokoju ukryło przede mną, iż cudowny tłumacz Leskowa posunął się. Człowiek jest młody, potem tylko wygląda młodo, a potem jest swyczajnie stary i wygląda stary. Nasza rozmowa w barze nie miała już poprzedniej temperatury. Potem odprowadziłem Tertila, odczekałem, aż Orzechowski go wypuścił, i uściskaliśmy sobie ręce. Mielśmy się jeszcze spotkać następnego dnia, ale obaj czuliśmy — to nie było już ważne. Słońce przeszłości, które rozgrzało nas dzisiejszego wieczoru, jutro już nie miało wzejść!

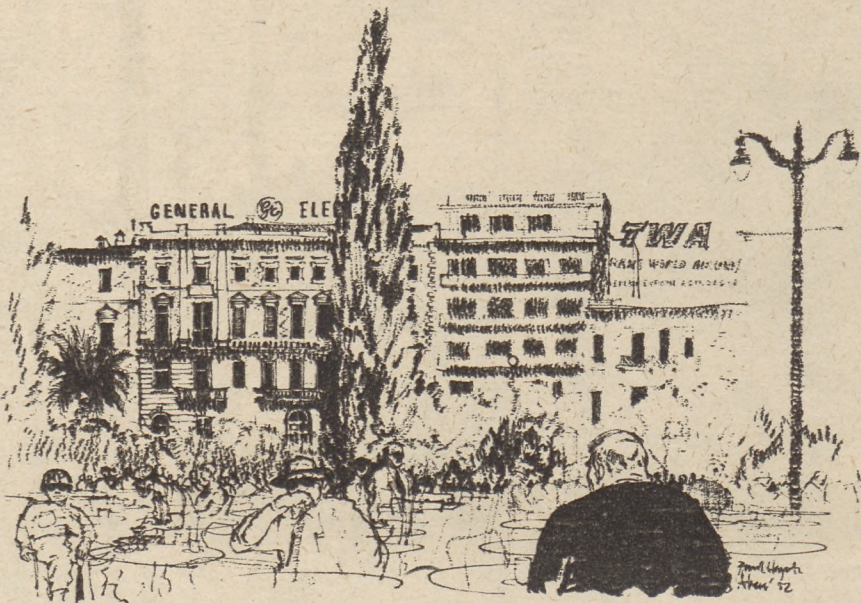
Zostawszy sam, przeciąłem wilgotną jezdnię tonącą w ciemnościach, jak cała zresztą uliczka, na której nie było ani jednej latarni. Za sobą miałem niski murowany garaż, gdzie niegdyś cały dzień furkotały samochody i rozlegały się krzyki, a przed sobą dom, który w ciągu pięciu lat był mi ojczyzną, a w ciągu minionych osiemnastu miesięcy stał mi się jeszcze droższy niż przemieszkałem; mnie i wszystkim, którzy tu mieszkali. Patrząc w ciemne okna — w niewielu były światła — za którymi mieszkali nowi, prawie nieznani ludzie, zobaczyłem naraz, jak dalece zamierzchnymi były czasy toasty. Były już historią, jeszcze jedną porcją historii. Żyjemy w czasach, kiedy rok ma ciężar wieku, a zdarzenia sprzed roku wydają się zamierzchnie. Młoda historia Polski Ludowej składa się ze stu tysięcy wydarzeń, których niedawny kształt ginie w oczach, tak szybko następują zmiany.

Ukryty w ciemnościach stęskniłem się nagle za pełnymi, niezwykłymi i bogatymi dziejami tego domu, takimi właśnie, jakie zapamiętałem i pokochałem!

BYŁEM W GRECJI

Artysta nie może być tylko obserwatorem. Udałem się do Grecji, aby na własne oczy ujrzeć, jak żyje lud grecki, jak walczy przeciwko faszystowskiej tyranii. Publikuję niniejsze rysunki w poczuciu, że w ten sposób biorę udział w tej walce. Poświęcam je ludowi greckiemu. Zwycięstwo będzie należało do niego.

PAUL HOGARTH



Robotnica przybyła na wózek

Robotnik portowy — bojownik o wyzwolenie społeczne

Największe budynki w centrum Aten zajęte są przez biura amerykańskich trustów



Członkowie trybunału wojskowego, ferującego wyrok na antyfaszystów



„Domy” górników na przedmieściach Aten



Ambatielos, bohater greckiego ludu



Matha Ambatielosa była już więziona, podobnie jak jej syn



Typ górnika greckiego



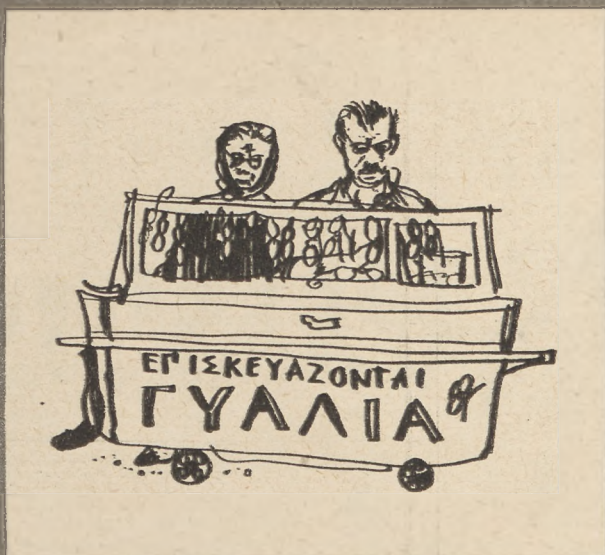
Zamiataczka ulic



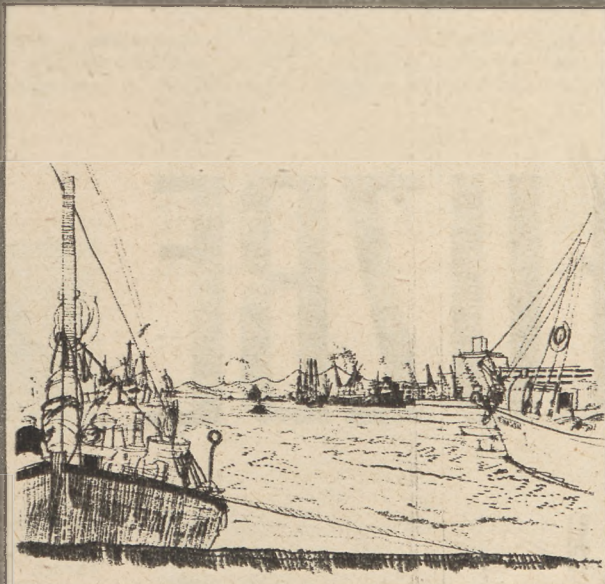
Na placu



z aresztowanym mężem



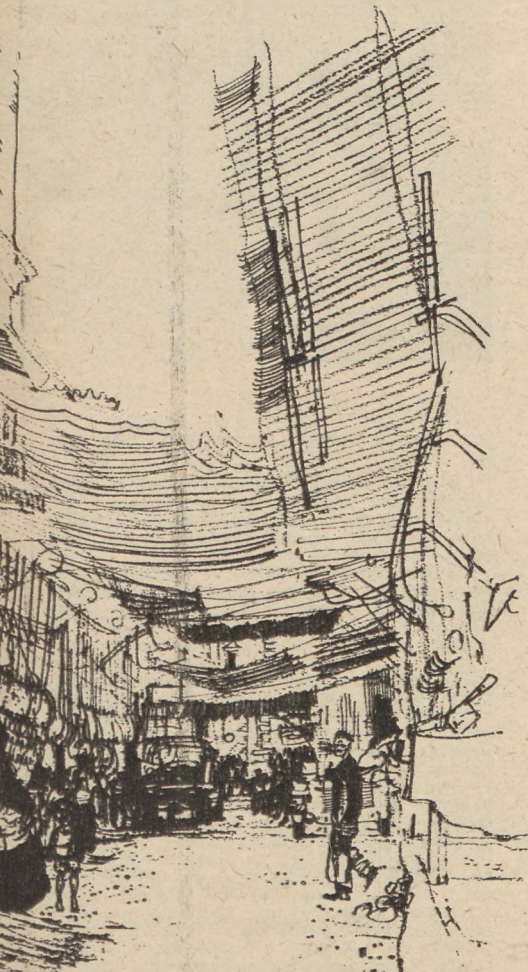
Papa starców naprawia okulary



Pireus — jeden z najstarszych portów Grecji



Żony bezrobotnych sprzedają zapalki i papierosy na ulicach Aten



Copied from the book "Greece" by Paul H. Hertz

LOSY Grecji są przestrożą dla narodów zachodniej Europy. Grecja jest bowiem pierwszym państwem w kapitalistycznej Europie, które „uszcześliwione” zostało „opieką” i „pomocą” amerykańską, i na przykładzie Grecji inne narody przekonane się mogą, jaki byłby ich los, gdyby dopuściły one do zamiany swych krajów w kolonie Stanów Zjednoczonych.

Wyprzedzając o kilka miesięcy sławetny Plan Marshalla, Truman już w marcu 1947 r. sformułował swą „doktrynę” i wystąpił o uchwalenie kredytów w sumie 400 milionów dolarów celem udzielenia „pomocy” Grecji i Turcji. Jeden z ideologów imperializmu amerykańskiego, Walter Lippmann, tak uzasadniał wówczas ten wniosek:

„Wybraliśmy Turcję i Grecję nie dlatego, że potrzebna im jest rzeczywista pomoc, ale dlatego, że dają nam one porty strategiczne, które otwierają drogę do Morza Czarnego i do serca Związku Radzieckiego...”

„New York Times” przytoczył inny argument na poparcie „doktryny Trumana”, pisząc:

„Grecja — to nasze doświadczenie laboratoryjne w dziedzinie kierowania polityką innych krajów...”

W ciągu następnych 5 lat imperialiści amerykańscy przy pomocy kilku monarcho-faszystów greckich doprowadzili do końca to „doświadczenie laboratoryjne”, ujarzmiając naród grecki. Grecja zamieniła się w kraj okupowany przez wojska amerykańskie, a niewspółmiernie rozbudowana armia grecka — w „przednia dywizję Amerykanów” (zwrot ateńskiego pisma „Akropolis”). W prasie amerykańskiej ukazują się raz po raz pięknie narysowane mapki, przedstawiające cele bombowców amerykańskich w wymarzonej przez Pentagon wojnie. Bombowce te wylatują m. in. z lotnisk i portów greckich i zmierzają (na mapkach i w rozejściach) do Stalingradu, Moskwy i — Werszawy.

A jak daleko sięga ingerencja amerykańska w wewnętrzne sprawy Grecji, wynika z następującego zestawienia, sporządzonego przez greckie, i to pro-amerykańskie, pismo „Vima”. Jednego tylko dnia

„miała amerykańska nie dopuścić do podwyżki uposażeń urzędników państwowych; sprzeciwiła się stworzeniu w Grecji przemysłu nawozów azotowych; oświadczyła, że nie zgadza się na budowę elektrowni w Ptolemais; ambasador amerykański odbył rozmowę z premierem greckim na temat pożądanego wyjazdu jednego z ministrów greckich do Paryża”.

W tej sytuacji nie dziw, że ambasada Stanów Zjednoczonych decyduje o składzie rządu greckiego, decyduje o „wyborach” do parlamentu (właśnie w najbliższych tygodniach mają się odbyć kolejne „wybory a la USA”), decyduje o budżecie państwowym Grecji.

DNO NEDZY

Pod rządami okupantów amerykańskich ludność Grecji zepchnięta została na dno nędzy. W tym małym kraju, mającym niecałe 8 milionów mieszkańców, ilość bezrobotnych przekracza 400.000. W tym rolniczym kraju 72 procent chłopów nie posiada dość ziemi, by wyżywić swoje rodziny; większość chłopów dzierżawić musi ziemię na lichwiarskich warunkach; chłopci płacą mieszczyźnie wysokie podatki, które w ostatnich 2 latach wzrosły o 80 procent. W tym kraju, słynnym z dobrego tytoniu, wywóz tytoniu osiąga zaledwie 50 procent poziomu przedwojennego, gdyż „przyjaciele” amerykańscy zagarnęli wszystkie rynki; tysiące ton tytoniu zalegają w składach, a robotnicy fabryk tytoniowych są bezrobotni.

Wspomniany już dziennik „Akropolis” — pismo reakcyjne — przyznaje:

„Młki nie ma, chleb stał się smakołykiem. Z wyspy Kreta, z północnych okolic Grecji, zewsząd słychać krzyki rozpacz. Z nadgranicznych wsi donoszą, że już od trzech miesięcy lud-

ność nie widziała młki... Kilku chłopów z rejonu nadgranicznego stwierdza: „Zapychamy sobie żołądki trawą, gdyż z braku chleba musimy się nią żywić...” Do czego doszliśmy? Styszelimy rozmowy o wielkich planach. Przyszłość nam (Amerykanie — red.) przekształcić nasz kraj w raj na ziemi. Ale zamiast tego ludność nasza nie ma chleba i głoduje. Mimo wszystkich obietnic tysiące chłopów pozostało bez dachu nad głową. Czyślibyśmy mieli być skazani na śmierć głodową?...”

Dziennik ateński „Kathimerini” stwierdza, że wydatek wojakowski (75 procent budżetu greckiego)

„doprowadziły ludność do najgorszego w okresie powojennym kryzysu gospodarczego, do sytuacji prawdziwie dramatycznej...”

Krwawy terror reżimu monarcho-faszystowskiego jest „godnym” uzupełnieniem tej tragicznej sytuacji gospodarczej mas greckich. Ponad 30 tysięcy więźniów politycznych; 40 więzień i obozów koncentracyjnych w rodzaju Oświęcimia — wyspy Makronisos; ponad 5.000 wyroków śmierci i ponad 3.000 wykonanych wyroków śmierci w ciągu 5 lat — oto krwawa statystyka okupacji amerykańskiej w Grecji.

„MY CZUWAMY...”

Nędza i terror nie zdławiły ruchu oporu greckich mas ludowych. Cios w plecy, zadany bojownikom greckim przez titowską Jugoslawię, zmusił ich do chwilowego odwrotu, lecz nie ustała w Grecji walka o wolność i niepodległość, walka przeciw okupantom amerykańskim, walka o pokój.

Na rozkaz amerykański zamordowany został grecki bohater narodowy, Nikos Belojannis. Na rozprawie sądowej rzucił on swym katom w twarz dumne słowa:

„Kochamy Grecję i jej naród bardziej niż ci, którzy nas oskarżają. Daliśmy tego dowody, gdy jej wolność, niepodległość i całość znalezły się w niebezpieczeństwie. Walczymy o to, by dla naszego kraju nastały lepsze dni; bez głodu i wojny. O to walczymy, a jeśli trzeba, oddajemy swe życie”.

Robotnicy greccy podpisali się pod tym oświadczeniem, składając na grobie Belojannisa wieńce i wstęgi z napisem: „Spój spokojnie. My czuwamy...”

Amerykanie mogli zamordować Belojannisa, lecz nie mogą oni wymordować całego narodu greckiego. Walczą nadal przeciw okupacji amerykańskiej: skazany już kilkakrotnie na śmierć Manolis Glezos, bohater, który w 1941 r. podczas okupacji hitlerowskiej zerwał z Akropolu sztandar hitlerowski i zmknął sztandar grecki; i Antonis Ambatielos, przywódca marynarzy greckich, również skazany na śmierć; i tysiące innych patriotów; i zwykła dziewczyna grecka, o której opowiedział przywódca komunistów greckich, Zachariadis, witając XIX Zjazd w Moskwie. Dziewczyna ta poddana została bestialskiemu torturowi za to, że znalazła u niej portret Stalina. Gdy była już bliska śmierci i gdy oprawcy podarli portret w jej obecności, znalazła jeszcze dość siły, by zawołać: „Nie zdołacie wyrwać mi go z serca!”

Do towarzyszy walki tej zwykłej Greczynki z pewnością dotarły już słowa Stalina, który w odpowiedzi na powitanie XIX Zjazdu przez bratnie partie komunistyczne i robotnicze stwierdził: „Istnieją wszelkie podstawy, by liczyć na sukcesy i zwycięstwo bratnich partii w krajach, w których panuje kapitalizm”. Słowa te dodały otuchy Glezosowi, Ambatielosowi i tysiącom innych bojowników o wolność Grecji.

Grecja Homera i Sokratesa, Grecja Fidiasza i Arystotelesa, Grecja Belojannisa i Glezosa nigdy nie będzie kolonią bankierów z Nowego Jorku, skorumpowanych polityków z Waszyngtonu i gangsterów z Chicago.

GRZEGORZ JASZUNSKI



Wzorowo i ofiarnie pełni służbę MO działając bezzwłocznie tam, gdzie zagrożone jest życie lub mienie obywateli.



Wandzia bałaby się przejść sama przez wielki i ruchliwy Plac Konstytucji w Warszawie — poprosiła więc plutonowego Szuppe o przeprowadzenie na drugą stronę. W państwie ludowym działalność milicji nabrała nowego, humanitarnego znaczenia: obejmuje ona wszechstronną opiekę nad każdym potrzebującym pomocy obywatelem, a szczególnie nad dziećmi i młodzieżą.

M.O. PEŁNI SŁUŻBĘ

Ulicami miasta przemknął jadący z niedozwoloną szybkością samochód-cysterna z benzyną. Skutki zderzenia mogłyby być katastrofalne — w pościg za chuligańskim kierowcą ruszył patrol milicji drogowej. Kierowcy auta zwiększyli jeszcze szybkość.



NA biurku redakcyjnym leżą wycinanki prasowe, które w pewnym skrócie ukazują wielostronność i doniosłość milicyjnej służby. Zajrzyjmy kolejno do pojedynczych kartek z tego szerokiego wachlarza wydarzeń.

...Ulicami miasta przemknął jadący z szybkością około 70 km/godz samochód-cysterna. Wewnątrz cysterny — benzyna. Wyobraźmy sobie, co by się stało w wypadku katastrofalnego zderzenia! Od krawężnika odrywa się patrol milicji drogowej na motocyklach i rusza w poгон. Kierowcy auto-cysterny zwiększają szybkość. Zwiększa się także niebezpieczeństwo katastrofy, które zagraża nie tylko chuligańskim kierowcom, ale i milicjantom, jadącym teraz w odległości kilku metrów za ściganymi. Na krańcach miasta chuligani zostają zatrzymani... Nie trzeba wielu komentarzy, żeby zrozumieć, jak trudna, często niebezpieczna, ale jak zaszczytna i potrzebna jest walka z anarchią na szosach i drogach.

Inny obrazek:

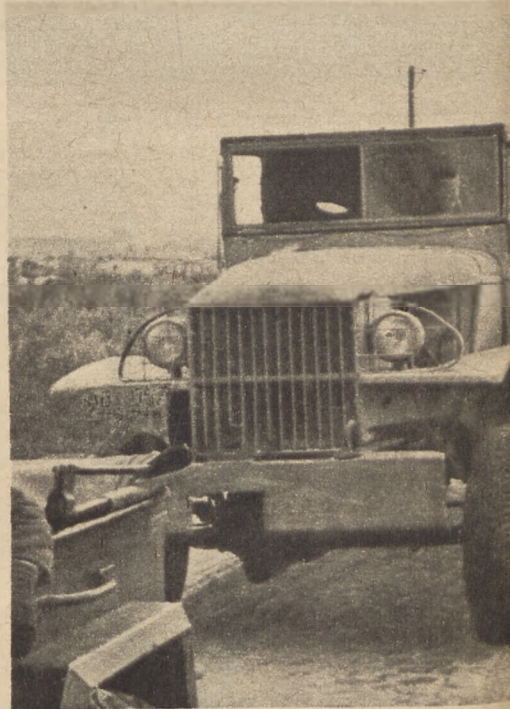
...Kapral Grzegorz Szarejko wracał po służbie do domu — jechał tramwajem w kierunku Placu Dzierżyńskiego. Nagle spostrzeża grupę ludzi w ogrodzie. Wysiada z tramwaju i biegnie w stronę zbiegowiska. Okazało się, że pod drzewem leży chłopiec, który uległ nieszcześliwemu wypadkowi: ma odciętą prawą nogę. Kapral Szarejko udziela mu pierwszej pomocy przewijając nogę poniżej uda. Zatrzymuje pierwszy napotkany samochód i odwozi chłopca do szpitala... Kapral Szarejko opisał później ten wypadek w suchym, lapidarnym meldunku, ale jeden tylko zwrot — umieszczony tam gwoli dokładności — owo „po służbie”, powiedziało wiele, ujawniło bowiem głębokie poczucie obowiązku cechujące wzorowego milicjanta, który na służbie, czy poza służbą zjawia się i działa bezzwłocznie tam, gdzie zaszła tego potrzeba.

A ulica dużego miasta dostarcza nie mało ku temu okazji. Młodociani amatorzy jazdy na tramwajowych buforach, starzec, któremu trzeba pomóc w przejściu przez jezdnię, zabłąkane dziecko, przyjezdni pytający o drogę — ileż różnorodnych funkcji wypełnia dzień służby milicjanta.

To samo w każdym małym miasteczku, to samo na wsi. Oto urywek wspomnień jednego z komendantów prowincjonalnego posterunku, o tyle ciekawy, że mówi nie tylko o głębokim zrozumieniu przez milicjanta nieszczęścia ludzkiego, ale także o wykrywaniu społecznych



Po dłuższym pościgu chuligański kierowca został zatrzymany — zapłaci teraz mandat karny. Trudna jest walka z anarchią na



przyczyn krzywdy i usuwaniu jej źródeł.

...W sekretariacie, otoczony gronem milicjantów, siedział przy kaloryferze, trzęsąc się z zimna, mężczyzna w wieku około 45 lat. Miał białe, sine nogi, brudną koszulę i długie, spadające na szyję włosy.

— Towarzyszu dowódco — zwrócił się do mnie milicjant — tego człowieka przyprowadzili do nas kolejarze. Wałęsał się po ulicy. Gdy go spytaliśmy dokąd idzie, powiedział, że chce się dostać do domu dla nieuleczalnie chorych.

Jak wykazało przeprowadzone śledztwo, nazywa się Jan Lypacz i pracował ostatnio u kulaka Franciszka Krawczyka. Pracował od świtu do nocy. Chciał kulak mieć trzy izby parobek spał pod piecem w kuchni. Chleb, czarna kawa i kartofle — takie było jego pożywienie. Póki był zdrowy — kulak trzymał go u siebie, ale od pewnego czasu Lypacz zaczął chorować: nawiedzały go coraz częściej ataki padaczki. Po naradzie z żoną Krawczyk oświadczył parobkowi, że pracy dla niego nie ma. Wypłacił służbę na drogę aż... 48 zł i wyjechał z domu... Komisariat MO zaopiekował się Lypaczem. Obecnie ten nieuleczalnie chory człowiek, nie posiadający rodziny, znalazł schronienie w jednym z domów opieki w Krakowie. Kulak za swoje postępowanie odpowie przed sądem.

Osobny rozdział w pracach milicji stanowią Izby Zatrzymań dla nieuleczalnie włóczęgów. Wyciąga się ich ze wszelkich kryjówek, z poczekalni dworcowych, z parków i ulic; są to najczęściej

sieroty, którym krewni nie potrafili lub nie chcieli zapewnić opieki, ofiary kułackiego wyzysku, rzadziej „poszukiwacze przygód”. Z reguły dostają się w nieodpowiednie środowisko, „rajzują” po kraju, żywią się z kradzieży lub żebraniny, od mniejszych przestępstw przechodzą do coraz większych, i zawsze kończą wędrówkę... w Izbie Zatrzymań. Na swoje szczęście, bo milicja kieruje ich do Domów Dziecka, albo tak reguluje ich sprawy rodzinne, aby mogli być spokojni o przyszłość.

.....Kilka miesięcy temu przyprawiono do Izby Zatrzymań chłopca w wieku około 16 lat. Miał wyraz twarzy człowieka przedwcześnie postarzałego. Posiadał na swym koncie kilka kradzieży i był nawet zamieszany w napad bandycki. Umieszczony już raz w Domu dla dzieci trudnych do prowadzenia, uciekł. Początkowo rozmowy z nim kierownictwa Izby Zatrzymań, perswazje, nie odnosiły żadnego skutku. Czasem słuchał, ale bywało i tak, że w ogóle nie chciał słuchać. Zauważyliśmy, że chłopiec z zachwytem patrzy na mundur wojskowy i zaczęliśmy mówić o wojsku... Nić porozumienia została nawiązana. Po kilku dniach rozmów obiecał, że nie ucieknie z zakładu, gdzie będzie mógł się uczyć, tak, aby kiedyś zostać wojskowym....

Ten chłopiec na pewno nigdy nie będzie sobie wyobrażał milicjanta, jako uosobienia tylko i wyłącznie „karzącej ręki sprawiedliwości” — bo go poznał także i z innej strony, poznał tak, jak poznają go codziennie ludzie ze wszelkich środowisk, którym wspólna jest jedna cecha: potrzeba pomocy.

*

W państwie ludowym działalność milicji nabiera nowego, szerszego, humanitarnego znaczenia: obejmuje ona mianowicie wszechstronną opiekę nad obywatelem. I już nie tylko w chwilach poważnego zagrożenia prawa, ale i w drobnych, lecz zawikłanych sprawach życiowych milicja przychodzi z pomocą, służy radą, informacją i wskazówką —

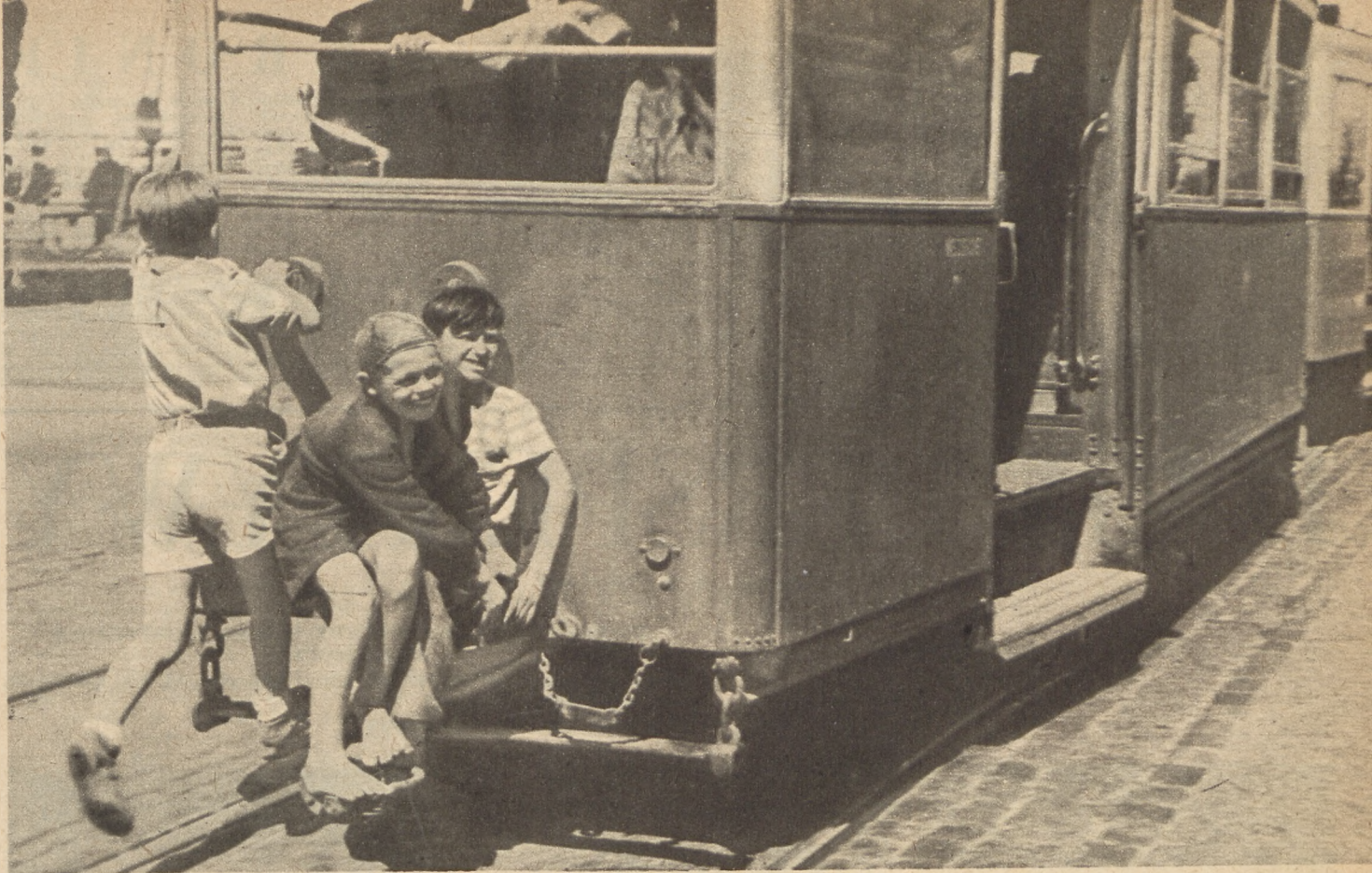
drogach i szosach: milicja operować musi tutaj błyskawicznie, często narażając się sama na niebezpieczeństwo wypadku.



z obowiązku występuje i działa tam, gdzie ktoś postronny mógłby okazać się pomocnym tylko z grzeczności.

Kiedy w pierwszych, dosłownie, chwilach po wyzwoleniu utworzyła się Milicja Obywatelska, do szeregów jej stała się ochotniczo młodzi chłopcy, rekrutujący się spośród robotników i chłopów. Przenikała ich wola zabezpieczenia ładu w ludowym państwie. Nie zawsze posiadali odpowiednie do tych funkcji przygotowanie, brakowało im nieraz potrzebnego wykształcenia, brakowało doświadczenia życiowego. Odtąd każdy dzień pracy oznaczał nie tylko wysiłek, aby pełnić wzorowo służbę, ale też zawierał długie godziny spędzane na doskazywaniu się, na pogłębianiu wiedzy fachowej, podnoszeniu swego poziomu ideologicznego, znajomości życia w nowych warunkach.

Dzisiejszy uprzejmy, kulturalny milicjant — to wynik tej wielkiej pracy. Bez przesady można powiedzieć, że cały świat patrzy uważnie, jak przestrzegana jest praworządność w ludowym państwie. — A jeśli tak, to śmiało możemy powiedzieć, że nasza milicja przynosi nam tylko chlubę.



„Przyjemność” jazdy bez biletu często kończy się nieszczęśliwym wypadkiem, mimo to wielu przechodniów patrzy na to obojętnie

Tym razem jazda na stopniu zakończyła się tylko zwichnięciem nogi. Za chwilę milicjant odwiezie chłopca do szpitala.



Chłop, który po raz pierwszy przyjechał do Warszawy, nie błąka się bezradnie ulicami miasta: milicjantka wskaże mu drogę i udzieli wszelkich innych potrzebnych informacji.



Milicjanci spędzają długie godziny na doskazywaniu się, na pogłębianiu wiedzy fachowej i podnoszeniu poziomu ideologicznego. Jest to konieczne dla wzorowego pełnienia służby.



DWIE PERSPEKTYWY

Napisał: K. T. TOEPLITZ

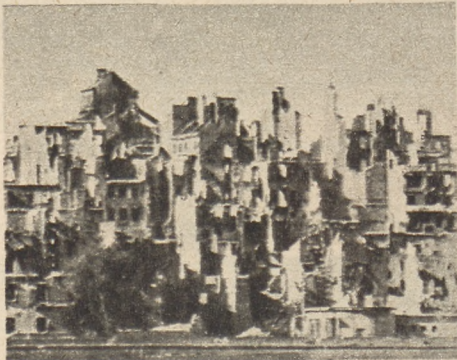
„WARSZAWA — DOKUMENTY WALKI, ZNISZCZENIA, ODBUDOWY”

Scenariusz: Stanisław Jankowski, Karol Malcużyński, Ludwik Perski
Realizacja: Ludwik Perski
Montaż: Ludmiła Niekrasowa

Oto cztery widoki Warszawy:



Warszawa XVIII wieku



Warszawa 1945 r.



Warszawa 1950 r.



Warszawa 1952 r.

W nich zamyka się przeszło siedem wieków historii tego zadziwiającego miasta. Zamyka się wielki i pasjonujący dramat, o którym każdy Polak może powiedzieć słowami Majakowskiego:

„Ten dramat
w ojczyźnie mojej się rozegrał
czy
w sercu
rozegrał się
moim?...“

Spojrzenie na te dzieje uwzględniać musi dwie perspektywy — perspektywę historii i perspektywę przyszłości. I tylko przy takim spojrzeniu zobaczyć możemy w Warszawie coś więcej, niż kolumnę Zygmunta i stylowe Łazienki. Kolumnę wznosił swemu ojcu Władysław IV — pisał o niej Słowacki; zburzyli ją hitlerowcy, odbudowała klasa robotnicza. W Łazienkach Wokulski spotyka Izabellę, po niespełna stu latach przyjeżdżają tu wycieczki z Opolszczyzny, by podziwiać smak króla Stasia. A więc wszędzie, w każdym zakątku tego miasta dwie perspektywy napraszają się, aby je uwzględnić i uszanować.

I tym, co jest w filmie „Warszawa” proporcją najdoskonalej wyważoną, to właśnie stosunek i współgranie przeszłości i przyszłości.

Film w podtytule głosi: „Dokumenty walki, zniszczenia, odbudowy”. Niewiele jednak zdarza się dokumentów, których treść byłaby tak porywająca i bliska. Czy dlatego, że interesują nas dzieje warszawskiej architektury, czy dla tego, że opanowuje nas pasja historia, badającego dzieje społecznego miasta na przełomie epok, czy dlatego wreszcie, że podziwiamy mistrzostwo, z jakim pokazywane są te dokumenty? Wszystko to po trochu, ale na tym nie wyczerpuje się sprawa, a nawet się nie zaczyna. Oglądając „Warszawę”, chcemy przede wszystkim zobaczyć dzieje człowieka. Sprawy ludzkie zawsze są treścią sztuki prawdziwej i zawsze stanowią treść nieklamanej historii. Ale ludzka sprawa warszawska jest szczególnie porywająca, bo świadczy ona o nieśmiertelności. Nie bójmy się tego słowa.

Film pokazał tę niezniszczalność miasta przede wszystkim przy pomocy historycznej relacji — Warszawa była, rozwijała się, później zrównana została z powierzchni ziemi, a dziś odżyła i rozkwita znowu. Stało się to możliwe dlatego, że najlepsza była zawsze Warsza-

wa plebejska, Warszawa proletariatu, tego, który bronił jej przed śmiercią, tego, dzięki któremu zmartwychwstała, rozkwita i będzie rozkwitać coraz piękniej. Oczywiście, że samo zestawienie tych faktów jest wystarczająco przekonujące, aby uwierzyć, że Warszawa istotnie jest miastem niezwykłym. Pod tę prostą wymowę faktów każdy z nas podkłada osobistą treść swoich przeżyć i to pomaga mu tym bardziej wierzyć filmowi. Dlatego też film o Warszawie spełnia swoją rolę, rolę przekonującego i pasjonującego dokumentu.

Czy podołał on również swemu drugiemu zadaniu — zadaniu dramatu?

Ludzki dramat, pełen walki, woli i wysiłku, wkracza na ekran już w pierwszych obrazach filmu, poprzez dynamicznie montowane stare sztychy i pełne nieklamanej patosu strofy Kubiaka o Warszawie Kilińskiego, Dzierżyńskiego i KPP-owców. Ogromną, tragiczną sceną dramatu jest wrzesień 1939, brak słów, by go wyrazić, i film daje wyraz dojrzałości, przyjmując go cicho, jakże wymowną. Dramat trwa w latach okupacji, choć twarze ludzi zostały tu zastąpione przez winiety gazet, spisy rozstrzelanych, napis na murze, dyskretnie i mądrze użyty błysk reflektora. Ostatnim dramatycznym momentem jest zawalenie się przeświata nowobudowanego mostu. Dalej następuje cała największa objętościowo część filmu, poświęcona odbudowie i budowie miasta. Jest radosne, słoneczne, twórcze budownictwo, doskonały reportaż i wierna kronika. Ale dramatu już nie ma.

I to jest zasadniczy zarzut, jaki postawić można filmowi. Film prowadzi nas po Warszawie jasnych osiedli, z równym patosem pokazuje elewacje domów i twarze budowniczych. Gdzieś gdzie wraca do przeszłości, by znów skonstrastować ją z teraźniejszością i przyszłością. Wszystko jest tu radosne i odświeżające. I rację mają twórcy filmu — taka jest Warszawa w dniu otwarcia mostu Poniatowskiego, Trasy W-Z, MDM-u. Ale między dniami przeglądu sukcesów są dni codziennej pracy, z których każdy niesie walkę nowego ze starym i ona właśnie niesie w sobie najbardziej dramatyczny i porywający ładunek historii nowej Warszawy. Tego ładunku film nie zdołał w pełni udźwignąć. Codzienna trudność, opór twardej ziemi przy kopaniu fundamentów, przestarzałe sposoby budowania, atak wody

postępowa prasa francuska i przeciw inwazji Amerykanów manifestowało społeczeństwo Francji, ale lepiej późno niż wcale...

Gorzej natomiast jest z Anglikami, którzy w ubiegłym miesiącu podpisali umowę pozwalającą Amerykanom na realizację filmów za sumę 5.900.000 dolarów rocznie w angielskich ośrodkach produkcyjnych. To już kompletna plaża.

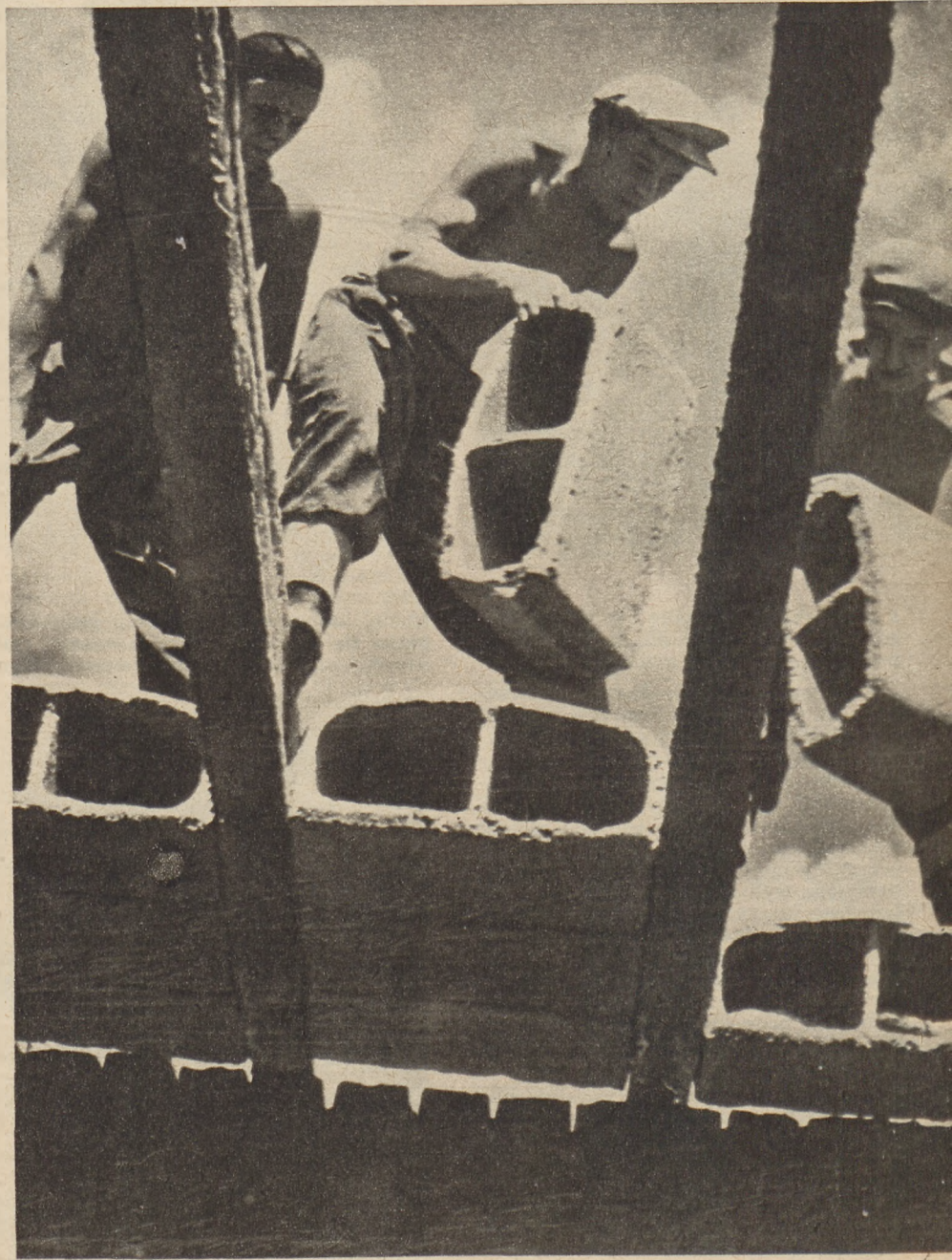
Przeszło rok spoczywał w magazynach cenzury francuskiej film radziecki „Mussorgski”, pomimo iż był nagrodzony w Cannes już w 1951 roku. Podobne losy dzieła „Bitwa stalin-

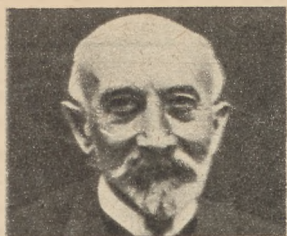
gradzka” (I seria), która dopiero niedawno weszła na ekrany paryskie.

Wielkim sukcesem zakończył się zorganizowany niedawno w Londynie „Tydzień filmu włoskiego”. Program, na który złożyły się m. in. takie filmy jak „Plaszcz” Lattuada (wg. Gogola), „Cud w Mediolanie” De Siki, „Najpiękniejsza” Viscontiego, „Droga nadziei” Germiego, „Nadziei za 2 grosze” Castellano, był entuzjastycznie przyjęty przez publiczność. Prasa angielska przyznała, że filmy włoskie uwypukliły upadek zamerykanizowanej produkcji angielskiej. Żale poniewczasie...

Konferencja Międzynarodowego Związku Producentów podczas ostatniego festiwalu w Biennale wysunęła projekt zorganizowania dorocznych festiwali w San Francisco (obok istniejących w Cannes i Biennale). Klęski poniesione pomimo wszelkich matactw w tegorocznych festiwalach oburzyły Amerykanów i teraz u siebie będą mieli okazję do pełnego rewanzu.

W USA, pomimo sprzeciwu Hollywood, nakręca się staraniem małej niezależnej firmy film o słynnym czarnym bokserze Joe Louis. Jakże można z czarnego zrobić głównego, pozytywnego bohatera, który w dodatku rzucił pięściarstwo i nie nabija kabzy menagerom?
j. ber.





Georges Méliès — prestigitator z paryskiego przedmieścia, pierwszy nakręcił w swoim atelier filmy fantastyczne, historyczne, egzotyczne.

Kartki z HISTORII FILMU

PRZEBÓI SPRZED 50 LAT

PIECZDZIESIĄT lat temu, w roku 1902, kino liczyło sobie wszystkiego siedem lat życia. Biedne dziecko, dziecko bogatych rodziców — fabrykantów z Lyonu, rzucone na łaskę losu, błędziło po jarmarcznych budach, zabawiając publiczność cyrkową błazenadą. Koronowane głowy i możni tego świata przestali się już interesować nową, techniczną ciekawostką. Po tragicznej katastrofie w 1897 roku na dobroczynnym bazarze, w której na skutek nieuwagi kinomechanika, wybuchł pożar i zginęło sto kilkadziesiąt osób ze śmietanki towarzyskiej Paryża, kino wyrzucono na przedmieścia, na prowincję, na wieś... Sam pan Lumière mówił o kinematografii, że ta zabawka potrwa rok czy dwa, nie ma jednak przed sobą żadnej przyszłości. Ot jeszcze jedna, przelotna moda. Byli już kinetoscropy, zootropy i praxinoskopy. Cóż z nich pozostało? — Tylko nazwy nadające się do lamusa. Zawędruje tam niechybnie i kinematograf.

Kino okazało się jednak silniejsze od towarzyskich anatam i nie uległo się grymasów wytwornej society europejskich stolic. Żyło i rozwijało się, zyskiwało wciąż nowych zwolenników; a co najważniejsze — próbowało nawet znaleźć dla siebie oryginalny, własny artystyczny kształt.

W roku 1902 mówi się dużo i z entuzjazmem o Meliesie i o jego „Podróż na księżyc”. Film ma aż 260 metrów długości i projekcja jego trwa całe 16 minut. „Podróż na księżyc”, składająca się z 28 oddzielnych scen, stanowi ogromny postęp na tle króciutkich, dwudziesto czy trzydziestometrowych „żywych fotografii”. Najbardziej imponuje publiczności nie długość filmu, ale jego fabuła — dość swobodna parafraza fantastycznych powieści H. G. Wellsa i Juliusza Verne o pierwszych ludziach na srebrnym globie. Na ekranie ożył świat fantazji.

Sukces „Podróż na księżyc” nie przeszedł łatwo. Melies miał poważne kłopoty ze sprzedażą filmu. Kopia ręcznie kolorowana kosztowała astronomiczną na ówczesne czasy sumę 840 franków. Jarmarczni przedsiębiorcy bali się ryzyka, nie chcieli wyłożyć tylu pieniędzy. Wreszcie ubłagał Melies jakiegoś właściciela baraku, by wziął jego film na próbę. bez gotówki, na parę godzin — od godz. 6 do 12 w nocy. Wszelkstronnie utalentowany reżyser dostarczył razem z filmem namalowany przez siebie plakat. Obok tytułu figurował na nim planetarny pocisk, tkwiący w księżycowym oku, i zachęcający napis: „Nie widziane i sensacyjne!” Widzowie jed-

nak, mimo zachęcającej reklamy, szli do baraku z nieufnością. „Proszę nas nie buć — mówiono o plakacie — nie pojechali przecież na księżyc by tam robić zdjęcia”. Na pierwszym seansie widzów nie było wielu i sala z początku była chłodna.

Na pierwszą scenę, wyobrażającą międzynarodowy kongres astronomów, publiczność patrzyła w milczeniu. Druga scena — plan podróży międzyplanetarnej — wywołała już pewne zainteresowanie. Przy trzecim obrazie — budowie pocisku w wielkiej hali fabrycznej — po sali przeszedł szmer. A potem, przy czwartym, piątym, szóstym obrazie — jak pisze Melies — rozległy się oklaski, które nie umilkły już do końca projekcji. Nazajutrz rano wszyscy przedsiębiorcy kinowi wiedzieli już o sukcesie „Podróż na księżyc”. Kopie filmu były rozchwytywane.

W parę miesięcy po jarmarcznej premierze film Meliesia wyświetlany jest w Paryżu, ale już nie w baraku, lecz w teatrze „Olympia”. Dyrygent orkiestry pisze specjalną partyturę do filmu. Meliesowski księżyc staje się modny nad Sekwaną, zwłaszcza kiedy popularni śpiewacy estradowi, bracia Isola, lansują na jego cześć „Księżycową balladę”. A potem Europa i Ameryka stają otworem przed nowym kinowym przebojem. Tuż obok nieistniejącego jeszcze wówczas Hollywood pierwsze stałe kino w Los Angeles wyświetla w październiku 1902 roku w inauguracyjnym programie — „Podróż na księżyc”.

Czy Melies zdawał sobie sprawę z przełomu, jakiego dokonał jego film w kształtowaniu form i charakteru kinowego widowiska? Najlepszą odpowiedzią są słowa samego realizatora, opublikowane w katalogu firmy „Star Film”: „Pan Melies jest autorem oryginalnego rodzaju filmów, składających się ze specjalnie przygotowanych scen. Realizacja tych filmów tchnęła nowe życie w przemysł filmowy, który był bliski agonii...”

Z dzisiejszej perspektywy jasno widać, że mistrz magii, człowiek „oprowadzany przez demony mechanizmu, rysunku i widowiska” — jak mawiał o sobie Melies — tchnął nowe życie nie tylko w przemysł, ale i w pierwotny filmowej sztuki. Przewyciężając recepty krótkich reportaży i wiecznych tych samych komicznych scenek, otworzył przed filmem szerokie horyzonty. Naiwne i prymitywne sztuczki i tricks „Podróż na księżyc” stanowiły zapowiedź ogromnych, nieograniczonych możliwości sztuki filmowej naszych czasów.

JERZY TOEPLITZ



Zegarek od Catalani



Kamea ryłca Islera

Rozmawiamy o muzyce

CHOPIN, RADIO I ZŁODZIEJE

JERZY WALDORFF

W „ŚWIECIE” (nr 42) w dziale fotograficznym zreproduковано sławne już dziś, jedyne zdjęcie portretowe Fryderyka Chopina, dokonane metodą dagerotypu. To zdjęcie i rozmowa z dyrektorem Instytutu Chopina — stworzyły we mnie jedną z kłapek. Każdy z nas ma takie kłapki w pamięci, które nagle uchylają się, powodując wywołanie wspomnień i zagrzebanych w głębi mózgu wiadomości, nieraz bardzo ciekawych.

Jaka była historia fotografii Chopina? Co mógł mieć z tym wspólnego wynalazek radia? Nad czym łamali głowy dyrektorzy firmy „Breitkopf i Härtel”? Kto ukradł sławny dagerotyp? — A no, posłuchajcie...

Firma „Breitkopf i Härtel” w Lipsku jest jednym z najstarszych w Europie wydawnictw muzycznych. Wśród wielu sław, których kompozycje ukazywały się w lipskim wydawnictwie, był także i Chopin. Potem Chopin zmarł, pozostałe po nim rękopisy i dokumenty schowano do archiwum wydawniczego i mo- że leżałyby tam nietknięte po dzisiaj, gdyby nie... radio. Wynalazek ten spowodował wiele przewrotów w świecie, m. in. także i ciężki kryzys w wydawnictwach nut. Główny naówczas odbiorca wydawnictw — mieszczaństwo, doszło do wniosku, że lepiej mieć w domu ładnie grającą skrzynkę radiową, niż fałszywie grającą na pianinie córkę. Córki przestały uczyć muzyki, nuty przestano kupować.

Stara i sławna firma „Breitkopf i Härtel” została zagrożona ruiną. Kiedy nadchodził taki moment, co się robi? — Szpera się po szafach i magazynach, w poszukiwaniu czegoś, co można by szybko sprzedać. W archiwum firmy „Breitkopf i Härtel” znalazły się m. in. pamiątki po Chopinie. Pamiątki?... — Raczej należało to nazwać prawdziwym skarbem, najcenniejszym w świecie zbiorem rękopisów najwybitniejszych kompozycji polskiego mistrza. Oprócz rzeczy pomniejszych znalazły się autografy: Koncertu f-moll, Sonat b i h-moll, 12 Etiud z op. 25, Scherza b-moll, Kołysanki, Fantazji f-moll i Poloneza — fantazji. Ponadto był zbiór listów i niezmiernie ciekawa fotografia-portret Chopina.

Dyrektorzy firmy „Breitkopf i Härtel” zatarli ręce, po czym natychmiast zaofiarowali odnalezione dokumenty Instytutowi Chopina w Warszawie, za sumę 100.000 marek. Był to wszakże rok 1936, rządy sanacji. Nie było Ministerstwa Kultury i Sztuki, nawet — Departamentu. Był tylko Wydział Kultury w Ministerstwie... Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Spraw takiego wydziału nie należało traktować zbyt poważnie! Dlatego, zapytany przez Instytut Chopina, minister Wyznań Religijnych odpowiedział, że na zakup dokumentów po Chopinie może dać tylko 5.000 zł i ani grosza więcej.

Instytut sumę demonstracyjnie odrzucił, firma „Breitkopf i Härtel” zapowiedziała wystawienie pamiątek chopinowskich na licytację, a więc — rozproszenie ich po całym świecie, utratę dla Polski na zawsze. Ludzie doceniający sprawę polskiej kultury załamali z rozpaczy ręce...

Wówczas to ceniony kompozytor i pedagog starszego pokolenia — Witold Maliszewski wpadł na pewien, zdawało się, fantastyczny pomysł: Rzesza hitlerowska winna była Polsce ogromne sumy za tranzyt kolejowy przez „Korytarz”, do Prus Wschodnich. Sum tych nie chciała płacić. Niech więc wyda pamiątki po Chopinie, z zarachowaniem ich na poczet tranzytu.

Zaczęły się bieganiny od Annasza do Kaifasza. Od Ministerstwa Wyznań, do Ministerstwa Kolei, od Ministerstwa Skarbu do Spraw Zagranicznych. Upór muzyków zwyciężył: w roku 1937 zbiór znalazł się w Warszawie.

Wtedy to po raz pierwszy — w równe sto lat od dokonania zdjęcia fotograficznego — mogliśmy zobaczyć, jak naprawdę wyglądał Chopin. Portrety jego i rzeźby były wszystkie upiększone, stylizowane na romantyczną podobiznę geniusza. Dopiero ze znalezionej dagerotypu wyjrzała bolesna twarz człowieka śmiertelnie chorego i smutnego. Twarz tak bliska, ludzka i wzruszająca, jak właśnie chopinowska muzyka.

Nie było jednak dane cieszyć się nam zbyt długo odzyskanym skarbem pamiątek. W roku 1939 zostały ewakuowane najpierw do Rumunii, potem do Francji, Anglii i wreszcie do Kanady, gdzie są bezpiecznie, po złodziejsku przetrzymywane do dzisiaj, wraz z arrasami wawelskimi i szczerbcom Chrobrego.

Pamiątek po Chopinie nie mamy zbyt dużo. Najwięcej było ich w rodzinie Ciechomskich. A to dlatego: ukochana siostra Chopina — Ludwika wyszła za Kalasantego Jędrzejewicza. Ich córka, też Ludwika, wyszła za Ludwika Ciechomskiego. Z tego małżeństwa były dwie córki zmarłe niezamężnie — Maria i Laura, oraz córka Józefa zamężna za Józefem Bichniewiczem i syn Antoni. Józefa zostawiła syna Władysława Bichniewicza, do dziś żyjącego w Toruniu — Antoni córkę Ludwikę, do dziś żyjącą i pracującą w Instytucie Chopina w Warszawie. Ta para prawnuków — Ludwika i Władysław, to żywe pamiątki po Chopinie. Z martwych były dwa fotele i szafka z ostatniego mieszkania Chopina przy placu Vendôme w Paryżu — przepadło to podczas okupacji. W Instytucie ocalał zegarek ofiarowany 10-letniemu Chopinowi przez sławną śpiewaczkę włoską Catalani, ocalała piękna kamea, ryłca Islera. Fortepian Chopina, znajdujący się w Muzeum Narodowym w Warszawie, został podczas powstania zrabowany przez hitlerowców szablami...

Są te bezcenne rękopisy w Kanadzie. Przetrzymywanie ich jest tym większym barbarzyństwem kulturalnym, że uniemożliwia nam dokładne, oparte na autografach wydanie „Dzieł wszystkich” Chopina.

Ale tym się właśnie różnią dwa światy: nasz i ich. My — szukujemy najpiękniejszy pałac Warszawy na siedzibę Instytutu Chopina. Tworzymy Fundusz Burs i Stypendiów im. Chopina, dzięki któremu 2000 naszej najzdolniejszej młodzieży artystycznej będzie się mogło bezpłatnie kształcić. Redagujemy pamiłkowe wydanie „Dzieł wszystkich” Chopina. A oni?... — My już wiemy, co o nich myśleć! Historia te gorzkie myśli nasze zanotuje.



„Daily Worker”, N. Jork

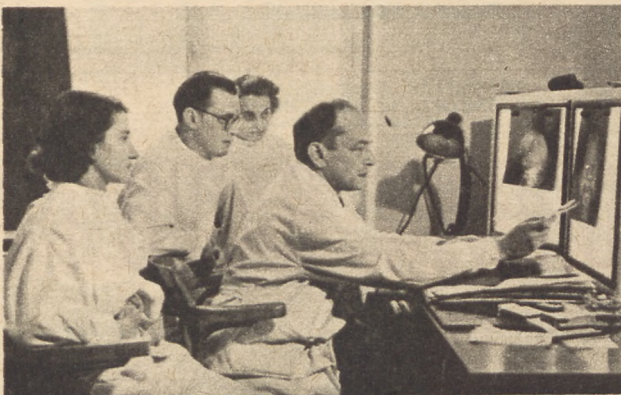
Władze amerykańskie zakazały Charlie Chaplinowi powrotu do St. Zjednoczonych.

nasi fotokorespondenci donoszą

UCZONY I DZIAŁACZ FRONTU NARODOWEGO

Odmierzony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski — rektor Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, prof. Czesław Murczyński, jest twórcą nowych metod rentgenodiagnostyki, które zyskały już sobie sławę światową. (Mowa tu o stosowaniu w diagnostyce radioaktywnych kontrastowych preparatów torowych).

Według pomysłu jego i pracowników szpitalnego zakładu radiologicznego powstał również aparat — „serigraf”, umożliwiający wykonywanie kilku jednocześnie zdjęć rentgenowskich wielkości naturalnej w przeciągu jednej sekundy. Metoda ta daje szczególnie dobre wyniki przy badaniu schorzeń naczyń krwionośnych w mózgu. Aparat ten, wybudowany wspólnie przez pracowników zakładu radiologii i wytwórni „Metalosprzet” w Szczecinie, jest bo-



Prof. Murczyński w otoczeniu asystentów przegląda zdjęcia wykonane swoją metodą

daje jedynym tego rodzaju w Polsce.

Prof. Murczyński dał się też poznać jako jeden z wybitniejszych działaczy społecznych, jest radnym MRN w

Szczecinie i przewodniczącym Uczelnianego Komitetu Frontu Narodowego.

Janusz Mikołajczak, Szczecin
Zdjęcia: Stefan Cieślak

ŁÓDZKI MARIENSZTAT

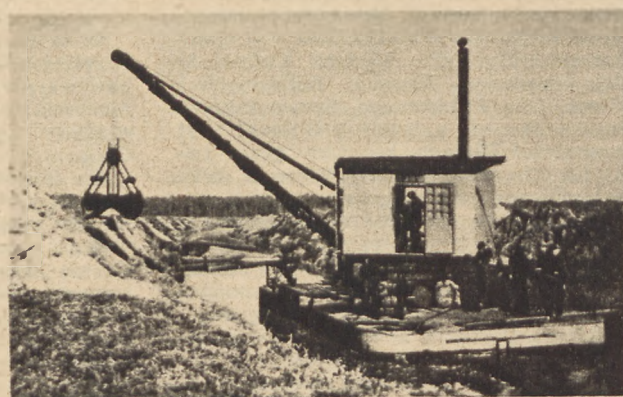


Czytelnicy warszawscy z niemalym zapewne zacięciem dowiedzą się, że malowniczy Mariensztat posiada w Łodzi swego sobowtóra, tylko że zbudowano go z... desek, dyktu, tektury i blachy.

Od czasu do czasu ten łódzki Mariensztat, wzniesiony w parku im. Poniatowskiego opodal atelier filmowego, tonie w powodzi światła. Nad głowami wielobarwnego tłumy pływają białe kule latarni i różnobarwne lampiony obok stojak z książkami i słodyczami. W tłumie migają ludowe stroje chłopackie, pióropusze na czarnych czapkach górników, zielone i szare mundury wojskowych... Wszystko to składa się na malowniczy obraz zabawy pod gołym niebem... A że jest ona tak bajecznie kolorowa, to właśnie dobrze, bo służy za tło na kręcanej tam naszej pierwszej barwnej filmowej komedii muzycznej — „Przygoda na Mariensztacie”.

Przed kilku zaledwie tygodniami za tło służyły autentyczne kamieniczki Mariensztatu i byłyby służyły dalej, gdyby nie trudność doprowadzenia na ten naturalny, tzw. w języku filmowców „plan” potrzebnej do zdjęć dużej ilości światła. Odpowiednie warunki techniczne atelier łódzkiego, a przede wszystkim własna podstacja elektryczna przesądziły przeprowadzkę zespołu realizatorów filmu z Warszawy do Łodzi.

A czy poznacie tę parę, widoczną na naszym zdjęciu? Jego na pewno, prawda, gdyż jest to Tadeusz Szmidt, którego dobrze wszyscy pamiętamy z filmu „Czarni śleb”.



Osadzony na pływaku bagier parowy w czasie pracy

A ona? Ją też widzieliśmy w barwnym filmie „Mazowsze”. Ta 18-letnia „Mazowianka”, Lidia Korsak, wraz ze Szmidtem w „Przygodzie na Mariensztacie” grają główne role. Obiektyw aparatu uchwycił ich w momencie spożywania lodów na patyku. Biedni! Choć byli „na kość” ziębnieli październikowym chłodem, musieli tego dnia „bohaterstwo” położyć co najmniej kilkanaście — brrr... — takich porcyjek lodów, zanim

reżyser Leonard Buczkowski zdecydował, że scena się uda. Czego się zresztą nie robi dla sztuki...

Z „Przygodą na Mariensztacie” wiąże „Mazowsze” nie tylko osoba Lidii Korsak. W filmie gra ona rolę... wielkiego zespołu ze Złocień. Doremnie jednak Czytelnicy szukaliby owego Złocenia na mapie. Jest to fikcyjna miejscowość, wprowadzona do scenariusza przez jego autora — Ludwika Starskiego.

Skoro już mowa o czołowych realizatorach filmu, nie można tu pominąć nazwisk operatora — Seweryna Kruszyńskiego oraz doradcy technicznego, którym jest znany operator radziecki — Firsow. Ponadto trudno chyba o lepszą gwarancję dla poziomu tzw. strony muzycznej filmu, niż nazwisko Tadeusza Sygietyńskiego.

Wszystkim zaciętkom „Przygoda”, którzy już chcieliby usłyszeć, kiedy wejdzie ona na ekrany, możemy zdradzić tylko tyle, że realizatorzy mają już połowę roboty za sobą i że zdjęcia ukończone zostaną jeszcze w roku bieżącym.

Zygmunt Nowicki, Łódź
Zdjęcia: Leon Olejniczak

PRZYRASTA ZIEMI NAD OBRA

Po zlikwidowaniu ugorów rolnictwo nasze przystąpiło do osuszania bagien i nieużytków, podmywanych wodą. W tym celu przeprowadza liczne prace melioracyjne oddając chłopom pod uprawę nowe obszary urodzajnej gleby.

W województwie zielonogórskim zespoły robocze posługu-

ją się wyłącznie maszynami, wyremontowanymi przez samodzielną Warsztat Wodno-Melioracyjny w Międzyrzeczu. Załoga tych warsztatów, z wraków wydobytych z dna rzeki Obrzy, konstruuje sposobem gospodarczym pełnowartościowy sprzęt. Zawiazał się tu również kolektyw racjonal-



W „Świecie” z dnia 5.10. br. z oburzeniem przeczytałem „Wychowawcę” korespondencje o wycinaniu na wydmach w Ustce sosen znajdujących się pod ochroną. Otóż w tej samej miejscowości dzieje się również krzywda sarnom i kozłom.

Bedąc na urlopie w lipcu br. w Ustce, wybrałem się z moim gospodarzem, ob. Pawłem Krukiem, do lasu, gdzie niedaleko szosy, znaleźliśmy pięknego kozła złapanego na tzw. „oko”.

Biedne zwierzę było na pół przecięte wpijającym mu się w ciało stalowym drutem, miało dookoła grzbietu i brzucha olbrzymią (patrz zdjęcia), szerokości 2½ dłoni ranę, ropiejącą i rojącą się od much i robaków.

Według opinii prof. dr Ewyg z Krakowa, który

TEM ŚNIEG JEST TEGOROCZNY



I w niebezpiecznej sytuacji nie wolno podeprzeć się nogą, gdyż zbiera się za to punkty karne. Zbigniew Cichoński ze Spółni warszawskiej zachował szczęśliwie równowagę.

Tegoroczne, piąte z kolei eliminacje rajdowe motocyklistów w Bielsku, odbyły się w trudnych warunkach atmosferycznych. Było zimno, prawie mroźnie, i spadł dość obfity śnieg, choć poprzedniego dnia treningi odbywały się przy pogodzie prawie letniej.

Inż. B. Kułiński, Bielsko

JESZCZE RAZ USTKA

przez trzy tygodnie pielegnował tę ofiarę barbarzyństwa, biedne zwierzę męczyło się w lesie co najmniej osiem dni (mękę powiększał brak wody). Koziołek znajduje się w tej chwili na wyleczeniu u ob. Pawła Kruka, który nie szczędzi dla niego trudów i pieniędzy na lekarstwa.

Na specjalne podkreślenie zasługują następujące fakty:

1) Gdy po uwolnieniu z drutu nieśliśmy koziołka do Ustki, spotkana po drodze żona jednego z pracowników leśnych oświadczyła, że „mąż często znajduje w lesie kozły i sarny, złapane w ten sposób, ale już nieżywe”.

2) Spotkani po drodze rybacy opowiadali, że właśnie w tym miejscu (jest to szlak do wody) znajdują corocznie kilkanaście satuk.

3) Sprowadzony nadleśniczy rejonu Ustka oświadczył: „To jest drugi w tym tygodniu”.

4) Tenże nadleśniczy, przesyłony o wzmożenie opieki nad tym specjalnie rejonem, oświadczył, że zrobi to, ale że ma bardzo ciężkie warunki pracy ze względu na małą ilość pracowników oraz słabe ich wykształcenie.

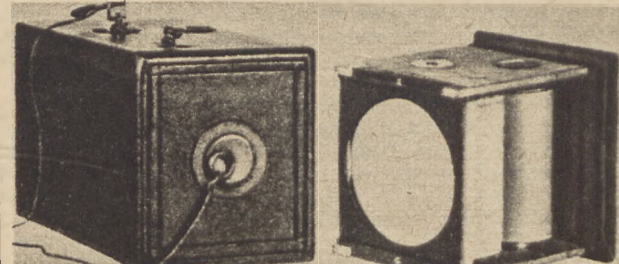
Sądzę, że sprawą tą zainteresują się odpowiednie władze.

Zb. Feliksiewicz, Kraków



FOTOGRAFIA NA CODZIEN ODPOWIEDZI REDAKCJI

Grzegorz Z., Olsztyn: Początki fotografii amatorskiej związane są z wynalezieniem w roku 1839 przez Eastmana błony celulozowej, która stała się też podwaliną kinematografii. Rok jeszcze przed tym wydarzeniem wytwórnia „Kodak” wyprodukowała pierwszy amatorski aparat fotograficzny, ładowany w fabryce taśmą uczulonego papieru na 100 zdjęć. Aparat ten był typu skrzynkowego, posiadał celownik i migawkę o czasie ok. 1/20 sek. Obraz na negatywie po akopowaniu go na pozytywie miał kształt okrągły.



Aparat ten w owych czasach, gdy pomimo wynalezienia klisz suchych fotografowanie było bardzo akomplikowane, stanowił swego rodzaju rewolucję.

N. E., Oleśnica śl.: Na barwnej taśmie negatywowej powstają kolory tzw. komplementarne, czyli dopełniające, które wraz z barwą, otrzymaną następnie przez kopiowanie na pozytywie, dadzą kolor biały. Tak więc np. kolorowi czerwonemu na pozytywie odpowiada kolor zielony na negatywie, niebieskiemu — żółty. — Fotoreporterzy prasowi używają różnych aparatów. Lampy błyskowe, które widzieliście, są to lampy wielokrotnie, o specjalnej konstrukcji, zasilone z przenośnego akumulatora. W lampach tych jest tylko jedna żarówka, dająca ok. 10.000 błysków o sile 28.000 Lumenów każdy. Lampy działają na zasadzie kondensatora elektrycznego, który wyładowując się nagle daje w żarówce błysk. Lampy te produkowane są tylko za granicą.

J. A. Zaluski, Łódź: Dziękujemy za słowa uznania. W sprawie „Atomalu” już pisaliśmy — na inne tematy stopniowo odpowimy na łamach naszego działu. Tabele głębi ostrości w przyszłości zamieścimy.

Eust. Szymczak, Katowice: Tabelę głębi ostrości dla obiektywów o ogniskowej 3,5 cm już zamieściliśmy. Na dalsze zapytania odpowimy po porozumieniu się z wymienionymi w liście instytucjami.

A. Rozwadowska, Poznań: Dziękujemy za słowa uznania. Ryunki i ilustracje już w naszym dziale zamieszczamy. Wszystkie proponowane w liście tematy będą jeszcze omawiane.

St. Bryczkowski, Bytom: Propozycje Wasze zgadzają się z naszymi planami. Dział „Fotografia na co dzień” obejmie możliwie szeroki zakres wiedzy fotograficznej. Staramy się podawać w nim wiadomości zarówno dla początkujących fotoamatorów, jak i dla zaawansowanych. Tabele nastawiania ostrości przy użyciu soczewek nasadkowych do aparatu „Leica” wysyłamy listownie.





HOWARD FAST

Bunt GLADIATORÓW

(4)

Tłumaczyła: M. MICHAŁOWSKA

Ilustrował: St. SAMBORSKI

W marszu Spartakus kroczył na przodzie, Warynia u jego boku, obejmując go ramieniem. Od czasu do czasu podnosiła oczy. Dla niej wszystko co się stało, było naturalne. Kiedy pojęła Spartakusa za męża, czuła, że oto wiąże się z najdzielniejszym i najlepszym ze wszystkich ludzi na świecie. Wiedziała o tym wtedy i wiedziała o tym teraz. Gdy spotykał się ich wzrok, uśmiechała się do niego. Bila się z Rzymianami. Nie miała pojęcia czy Spartakus był z tego zadowolony czy nie, lecz jedno było pewne: nic nie powiedział na widok noża, jaki Warynia nosiła za pasem. Wszyscy znali legendy o Amazonkach, kobietach, które w dawnych, bardzo dawnych czasach walczyły jak mężczyźni. Krążyło też wiele innych legend o odległych czasach, kiedy mężczyźni i kobiety byli sobie równi, kiedy nie było ani panów, ani niewolników i kiedy wszelkie dobra doczesne były wspólne. To było bardzo dawno temu, w okresie, który zwał się złotym wiekiem. Teraz znów nastanie złoty wiek.

Złoty wiek zaczął się właściwie już teraz. Słońce złoćło wspaniały krajobraz i zbroje na piersiach rosnących gladiatorów. Trawa była miękka i zielona. Wśród niej żółte kwiaty, jak plamy stopniałego masła. Motyle i pszczoły unosiły się nad łąkami. I nagle zaczęło zwracać się do Spartakusa — „ojcze” — trackim zwyczajem.

— Co dalej? Dokąd idziemy?

Stał na łące, a oni zgromadzili się dokoła niego. Warynia usiadła na trawie opierając się policzkiem o jego udo. Gladiatorszy i niewolnicy także rozsiadli się na miękkiej trawie, Galowie o czerstwych twarzach i niebieskich oczach, Afrykanie o długich nogach, Trakowie o czarnych włosach i smukłych ciałach. — Jesteśmy wszyscy jednym szczepem — powiedział. — Czy zgadzacie się? — Skinęli głowami. Szczepy nie uznawały niewolnictwa, w szczepach wszyscy ludzie mieli równe prawa. Pamiętali jeszcze jak to było, gdy żyli wśród swoich.

— Kto przemówi — zapytał Spartakus. — Kto wystąpi, jako wasz przywódca? Mówcie, albowiem jesteście wolnymi ludźmi.

Nikt się nie podniósł. Trakowie uderzyli rękojęściami noży w metalowe zbroje i dźwięk ten spłoszył ptactwo w pobliskich krzakach. U zabudowań gospodarskich zjawiała się grupa ludzi, lecz trudno było z tak wielkiej odległości zorientować się, kim byli i czego chcieli. Afrykanie pozdrawiali Spartakusa, klaszcząc w podniesione dłonie. Uczucie szczęścia przenikało wszystkich zgromadzonych. Przez chwilę żyli, jak we śnie. Warynia wciąż siedziała na ziemi z policzkiem przyciśniętym do uda Spartakusa. Gannikus krzyknął:

— Cześć ci, gladiatorze!

Jakiś umierający człowiek dźwignął się z ziemi. Przed chwilą jeszcze leżał na trawie. Ramię miał przecięte do kości, krew odpływała zeń szybko. Był to Gal, który nie chciał pozostawać w tyle za towarzyszami. On także zakosztował wolności i nie chciał się z nią rozstawać. Obwiązali mu ramię szmatą. Podszedł do Spartakusa, który podtrzymał go mocnym ramieniem.

— Nie boję się śmierci — powiedział umierający. — Wolę taką śmierć, niż śmierć na arenie. Ale zamiast umrzeć, wolałbym iść za tym oto człowiekiem. Wolałbym pójść za jego przewodem, by zobaczyć, dokąd nas zaprowadzi. Lecz jeśli umrę, to zapamiętajcie mnie i bądźcie mu wierni. Słuchajcie go. Trakowie nazywają go ojcem, a my jesteśmy jako małe dzieci i on oczyści nas z wszelkiego zła. Ja już pozbyłem się wszelkiego zła. Uczyniłem rzecz wielką i jestem oczyszczony i nie boję się śmierci. Będę spał spokojnie. Żadne sny nie będą mię dręczyć w grobie.

Niektórzy gladiatorszy płakali. Gal ucałował Spartakusa, a Spartakus z kolei ucałował go. — Zostań przy mnie — powiedział. Ranny opadł na trawę, a niewolnicy zebrani dokoła patrzyli z podziwem na gladiatorów, którzy tak bardzo żyć byli ze śmiercią.

— Ty umrzesz — powiedział Spartakus — lecz my jeszcze żyjemy, zapamiętamy twoje imię i rozgłosimy je po całym świecie. Będziemy szli przez kraj z imieniem twoim na ustach.

— Nie poddacie się nigdy — zawołał umierający.

— Czy poddaliśmy się, gdy natarli na nas żołnierze? Walczyliśmy z nimi dwukrotnie i dwukrotnie wygraliśmy. Czy wiecie, jakie zadanie stoi teraz przed nami? — spytał gladiatorów.

Patrzyli w milczeniu.

— Czy będziemy uciekali?

— Dokąd moglibyśmy uciec? — odparł Kriksus. — Wszędzie jest przecież to samo. Wszędzie są panowie i niewolnicy.

— Nie będziemy uciekali — zawołał Spartakus, który tak był teraz pewny swej drogi, jak gdyby nigdy przedtem nie miał wątpliwości... — Pójdziemy od plantacji do plantacji, od domu do domu. A gdziekolwiek się zjawimy, tam wywołamy niewolników i w ten sposób urosną nasze siły. Jeżeli znów wyślą przeciwko nam żołnierzy, to będziemy się bili, a bogowie zdecydują, czyja droga jest słuszną, rzymska czy nasza.

— A broń? Skąd weźmiemy broń — spytał ktoś.

— Odbierzemy broń żołnierzom. I będziemy ją sami robić. Czym jest Rzym, jeśli nie owocem potu, krwi i krzywdy niewolników? Czy jest taka rzecz, której my nie potrafimy zrobić?

— Rzym wyda nam wojnę.

— Wtedy my wydamy wojnę Rzymowi — powiedział Spartakus spokojnie. —

Skończymy raz na zawsze z Rzymem i stworzymy świat, w którym nie będzie ani panów ani niewolników.

Było to marzenie, lecz jakże chętnie poddawali się temu marzeniu. Zamiary ich sięgały niebios. Gdyby ten dziwny Trak o złamanym nosie i czarnych oczach powiedział im teraz, że oto mają iść na wojnę przeciwko samym bogom, poszliby za nim.

— Nie splamimy naszego honoru — dodał Spartakus, a słowa jego brzmiały łagodnie i bezpośrednio, jak gdyby mówił z każdym z nich oddzielnie. — Nie pójdziemy śladem Rzymian, stworzymy własne prawa. Jakie są nasze prawa?

— Nasze prawa są proste. Wszystko, co zdobywamy, jest wspólną własnością. Na własność każdy z nas będzie miał tylko swoją broń i swoją odzież. Będziemy żyli, jak za dawnych czasów.

— Moglibyśmy się wzbogacić — powiedział któryś z Traków.

— Jeżeli chcesz, to ogłoś takie prawo. Ja nie wezmę w tym udziału.

Tak mówili, a byli wśród nich także ludzie chciwi, którzy marzyli o wielkich bogactwach i chcieli być wielkimi panami jak Rzymianie, i byli tacy, którzy pragnęli by zamienić Rzymian w niewolników. I gadali, gadali, lecz w końcu stało się tak, jak chciał Spartakus.

— I nie będziemy brali kobiet, chyba jako żony — dodał Spartakus. — I żaden z nas nie będzie miał więcej, niż jedną żonę. Małżeństwa muszą żyć zgodnie i sprawiedliwie, a gdy nie będzie wśród nich zgody, mogą się rozjeść. Lecz żaden mężczyzna nie ma prawa żyć z kobietą, nawet z Rzymianką, jeśli nie jest jego prawowitą małżonką.

Tak ustanowili swe prawo. A potem chwycili broń i ruszyli w kierunku zabudowań dworskich. Okazało się, że na miejscu pozostali jedynie niewolnicy. Rzymianie uciekli do Kapui. Niewolnicy zaś przyłączyli się do gladiatorów.



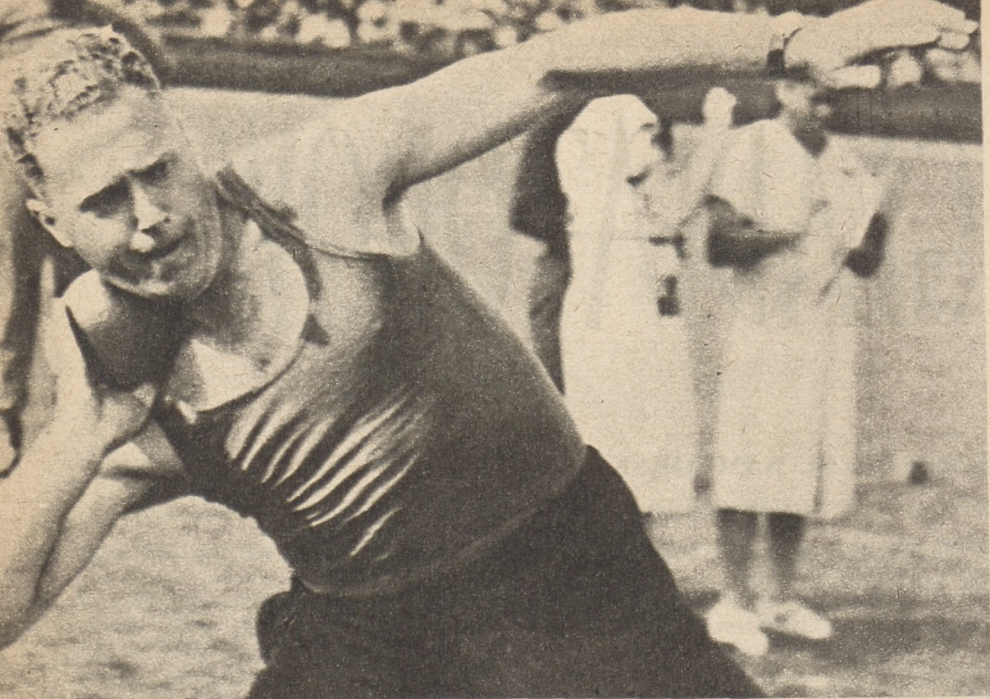
Z Kapui widać było dym z płonących zabudowań i Rzymianie łatwo wywnioskowali, że niewolnicy są okrutni i mściwi. Woleliby, żeby niewolnicy okazali się łagodni i pełni zrozumienia, to znaczy, żeby po prostu uciekli małymi grupkami w lasy i w góry. Żeby tam zamieszkali w grotach, jak dzikie zwierzęta, i żeby można ich było spokojnie i powoli wylapać, właśnie jak się poluje na dzikie zwierzęta. Kiedy obywatele Kapui dostrzegli dym pierwszego płonącego zabudowania dworskiego nie byli jeszcze zbyt zaniepokojeni. Ostatecznie należało się spodziewać, że z początku gladiatorszy będą się trochę mścili. Wysłano szybko gońców do Rzymu, by zawiadomić Senat o wypadkach w Kapui i spodziewano się, że w ciągu kilku dni sytuacja będzie całkowicie opanowana. A później niewolnicy otrzymają taką nauczkę, że na przyszłość odechce im się buntów.

Pewien bogaty ziemianin, imieniem Marek Antoniusz, którego zdołano w porę ostrzec, zebrał swoich siedmiuset niewolników i udał się w drogę do Kapui, by schronić się za jej murami. Lecz gdy gladiatorszy spotkali go wraz z orszakiem na drodze do miasta, przystanęli i w milczeniu przyglądali się, jak niewolnicy mordowali Marka Antoniusza i jego żonę, i siostrę żony, i jego córkę, i męża córki. Był to widok straszny i okrutny, lecz Spartakus wiedział, że nie zdoła ich uratować i zresztą nie zależało mu na tym zbytnio. Tamci zbierali przecież to, co posiali. Zabójstwa dokonali niewolnicy, niosący lektyki z dostojnymi podróżnikami. Zabrali się do dzieła, gdy tylko spostrzegli, że uzbrojeni ludzie, którzy zastąpili im drogę, nie są żołnierzami rzymskimi, lecz owymi gladiatorami, których sława obiegła już całą okolicę. Zanim jeszcze zapadł wieczór, wieść o gladiatorach rozeszła się jak błyskawica. Oddział liczył już kilka tysięcy ludzi, i ze wszystkich stron, z pól i dolin zbiegali się stada kóz i owiec. Inni znów przynosili narzędzia pracy. Gdy pochód zbliżał się do jakiegoś domu — a był to już teraz pochód nieorganizowany, po prostu tłum, z którego wyodrębniła się tylko garstka gladiatorów maszerujących w wojskowym szyku — wybiegali z kuchni niewolnicy, wymachując nożami i tasakami, a służba domowa przynosiła w darze wspaniałe tkaniny lniane czy jedwabne. Rzymianom na ogół udawało się zbiec, a tam, gdzie próbowali stawiać buntownikom opór, widniały ślady krwawej rozprawy.

Pochód nie mógł już teraz posuwać się szybko naprzód. Był zbyt liczny. Tłum rozśmianych, rozśpiewanych mężczyzn, kobiet i dzieci, ludzi upojonych winem wolności. Gdy znaleźli się w odległości dwudziestu mil od Kapui, zapadł zmrok; postanowili wtedy rozbić obóz. Rozłożyli się w dolinie przy szumzącym strumyku, rozpalili ogniska i zaczęli zjadać świeże mięso.

Piekli całe barany i kozły, a gdzieś tam nawet cielaki. Wokół rozchodził się zapach pieczonego mięsa. Cóż to była za uczta dla ludzi, którzy przez cały rok karmieni byli selerem, brukwią i krupami! Mięso zapijał winem, a śpiew ich i śmiech rozlegały się daleko w noc. Cóż to była za kompania! Galowie i Żydzi, Grecy i Egipcjanie, Trakowie i Nubijczycy, Murzyni z Sudanu i Libii, Persowie i Asyryjczycy, Germanie i Słowianie, Bułgarzy i Macedończycy, Hiszpanie i Włosi, mieszkańcy Syrcylii, Umbrii i Toskanii, i ludzie z wielu innych szczepów, których nazw nikt nie pamięta. Różne rasy i różne plemiona, których jednak połączyła dawna niewola, a teraz zdobyta wolność.

Dokończenie na str. 23



Mieczysław Łomowski jest nadal czołowym miotaczem Europy.

CHMURY NA JASNYM NIEBIE

LEKKOATLECI polscy zakończyli już sezon. Ich całoroczna praca różnie jest oceniana. Są tacy, którzy wpadają w zachwyt (czasem nawet uzasadniony), są też pesymiści (tych nigdy nie braknie). Spróbujmy rzecz ocenić „na zimno”, obiektywnie.

Igrzyska Olimpijskie były najpoważniejszą próbą naszej lekkoatletyki w tym roku. Wyniki wypadły tak samo jak... nominacja na Olimpijczyków. Było wielu takich, którzy osiągnęli przewidziane minima, a nie pojechali (np. Szwargot), byli też tacy, którzy minimów nie osiągnęli, a w Igrzyskach startowali (np. Kowal, Długoborski, Mach, Krysińska). Wyjazd zależał więc od szczęścia.

Od szczęścia zależały też wyniki na Olimpiadzie. Niespodzianki robiły „fuk-sy”, zawodziły „pewniaki”.

Oceńmy jednak stan rzeczywisty. Na Igrzyskach Olimpijskich miejsce w granicach dziesiątego nie jest przecież zawodem. A Ciachówna była siódma, Bregulanka — dziesiąta, Weinberg — dziesiąty, Krzyżanowski — dziesiąty, Szwałkowska — dziesiąta, Duńska — jedenasta, sztafeta kobieca pobiła rekord Polski — 48,1, Kielas osiągnął w biegu na 3 km z przeszkodami najlepszy polski czas — 9:15,2, a Graj w biegu na 5.000 m chociaż nie zakwalifikował się do finału uzyskał wynik na światowym poziomie — 14:30,0.

Druga międzynarodowa próba naszych lekkoatletów — mecz z NRD — przez dwa dni była dla nas bardziej korzystna niż należało się spodziewać. Trzeci dzień przyniósł nieco rozczarowań. W sumie jednak zwyciężyliśmy i to zarówno w konkurencji męskiej jak i kobiecej (w ub. roku nasze zawodniczki przegrały).

Lekkoatleci pobili w tym roku wiele rekordów Polski: Łomowski kulą — 16,15, Masłowski młotem — 53,30, Grabowski w dal — 75,1, Weinberg w trójskoku — 15,06, Kielczewski na 1.500 m 3:52,6 (przed nim poprzedni rekord Kusińskiego 3:54,0 pobili: Potrzebowski, Długoborski, Graj i Lewandowski). Na 3 km z przeszkodami rekord pobił Kielas na Igrzyskach, a potem poprawił go Krzyszkowiak, wygrywając z mistrzem Europy, Roudnym, w czasie 9:13,6.

Kobiety także mogą pochwalić się nowymi rekordami: Ciachówna w rzucie oszczepem — 45,34, Pestkówna na 800 m — 2:16,7 oraz sztafeta 4 × 100 m — 48,1. A więc w sumie 9 rekordów Polski!

Ponadto wielu zawodników uzyskało najlepsze powojenne wyniki (Graj — 5.000 m, Sidło — oszczep, Lewandowski — wzwyż, Szwałkowska — 200 m, Duńska — w dal).

Wiele rekordów pobili juniorzy. Juniorki startowały z powodzeniem w reprezentacji państwowej (Lerczakówna, Serkiz).

Nasi najlepsi coraz częściej znajdują pogromców. Ciachówna, która zajęła 7 miejsce na Igrzyskach Olimpijskich, po powrocie z Helsinek dwa razy przegrała z mało znaną Dobrzycką. Kielas znalazł w biegu na 3 km z przeszkodami trzech zwycięzców w osobach Graja, Chromika i Krzyszkowiaka, olimpijscy średniodystansowcy doznali porażki od nowego rekordzisty Polski, Kielczewskiego.

Te fakty muszą cieszyć. Jak również cieszy fakt, że większość naszych czołowych zawodniczek i zawodników to młodzież, o której 2—3 lata temu albo nikt nie słyszał, albo też wtedy startowali dopiero jako juniorzy. A zawodnik klasy światowej nie rośnie przecież w ciągu jednego roku. Zwycięzca olimpijski, Rhoden, biegał w 1948 r. 400 m w 48,4, a w Helsinkach wygrał w 45,9, mistrz olimpijski 1.500 m, Barthel, miał w roku 1948 — 3:53,6, a na Igrzyskach 3:45,2.

Oczywiście jest jeszcze w naszej lekkoatletyce wiele braków. Wiele konkurencji utknęło na martwym punkcie (biegi krótkie), biegi 110 i 400 m przez płotki oraz rzut dyskiem męczyzn, są kompromitująco słabe. Nie lepiej przedstawia się sprawa skoku wzwyż, zarówno w kategorii mężczyzn jak i kobiet.

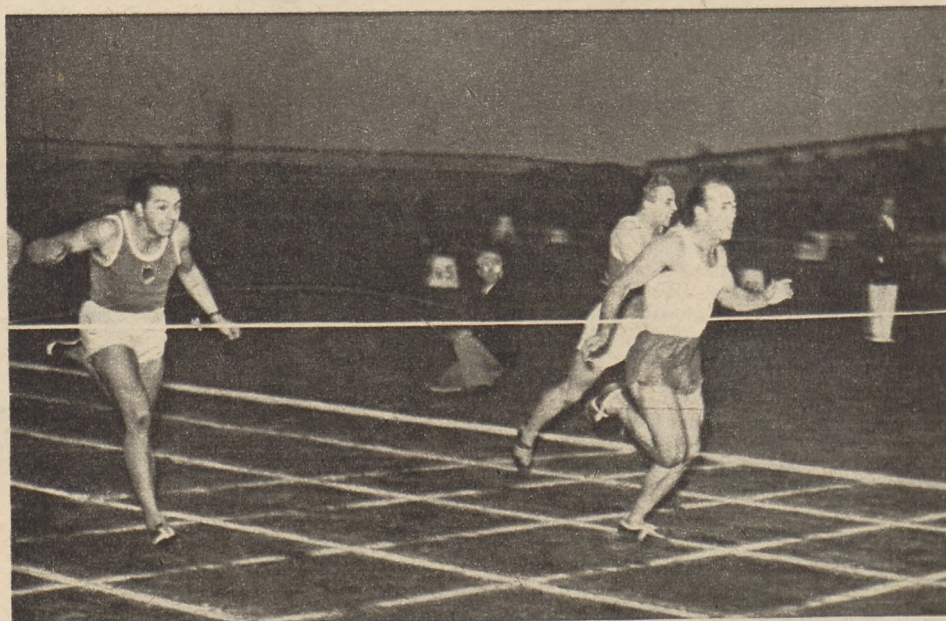
To są chmury na jasnym niebie lekkoatletyki. Gdyby nie one, tegoroczny bilans można by nazwać więcej niż dodatnim.

Od samych zawodników i ich trenerów, od woli, ambicji i wkładu pracy w przyszłym sezonie (i podczas zimowej przerwy) zależy, czy przegonimy i te chmury z lekkoatletycznego nieba.

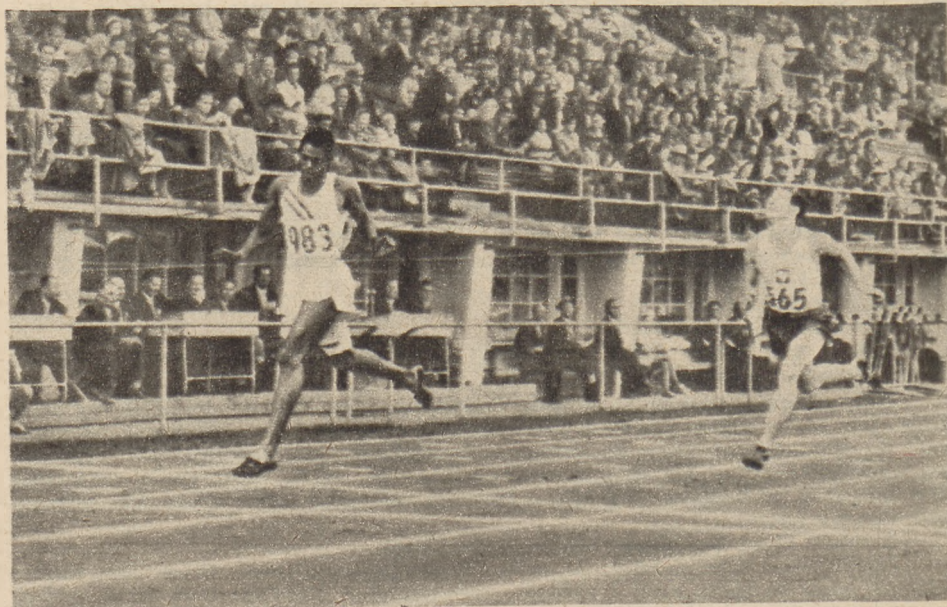
STEFAN SIENIARSKI



Rekordzista Polski w skoku w dal, Henryk Grabowski (CWKS).



Mistrz Polski Emil Kiszka należy do czołówki sprinterów Europy.

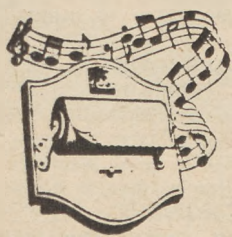


Stawczyk (z prawej) zajął na Igrzyskach w Helsinkach drugie miejsce w przedbiegu 200 m, za późniejszym medalistą amerykańskim, murzynem Stanfieldem.

PRZEWROT W MUZYCE

Prasa amerykańska ogłasza najnowszy wynalazek, który może spowodować prawdziwy przewrót w muzyce. Koncerty staną się zbędne. Przynajmniej w Ameryce.

A oto rewelacja, o której mówi reklama ogłoszona w dziennikach amerykańskich.



MUSICAL TISSUE OR TOILET PAPER HOLDER

Only \$6.80 Post Paid

Charming as Xmas Gift
Pull Paper and Enjoy Music
Popular Tones, Swiss Movement

Send check or money order—C.O.D. You pay postage
P. O. Box 1204
SIESTA NOVELTY MIAMI BEACH, FLORIDA

MUZYCZNY UCHWYT DO BIBUŁKI LUB PAPIERU TOALETOWEGO

Tylko 6 dolarów 80 centów, poczta opłacona
Czarujący podarek gwiazdkowy.

Pociągasz za papier i rozkoszujesz się muzyką.

W szczegółowym prospekcie czytamy jeszcze uzupełniającą informację: „32 melodie do wyboru. Największa nowość muzyczna”.

Architekci amerykańscy zamierzają przebudować pomieszczenia, w których ten wynalazek będzie zawieszany, na kształt muszli... koncertowej.

JESZCZE JEDNA TRAGEDIA

Troje Dzieci Polskich Spalonych Żywcem w Obozie Dla Emigrantów w Australii

Ogółem Spaliło Się Pięcioro Dzieci. — Obóz
Składał Się z Drewnianych
Budynków

Melbourne. — Pięcioro dzieci, w tym troje polskich, spłonęło żywcem podczas pożaru w obozie dla imigrantów w Somers, 45 mil od Melbourne.

Obóz ten składa się z drewnianych baraków, z których dwa przeznaczone są na szpital. W szpitalu znajdowało się około 30 dzieci, z których 14 było chorych na paraliż dziecięcy, reszta zaś na bronchit, odrę i inne dziecięce dolegliwości. Przyczyna pożaru nie jest znana. Ogień ogarnął wkrótce dwa baraki szpitalne. Ratownicy zdołali wynieść z płonących baraków 25 dzieci, jednak ogień szerzył się tak szybko, że dostęp do jednej z sal szpitalnych został uniemożliwiony z powodu płomieni. W sali tej pozostało pięcioro dzieci.

W obozie rozgrywały się rozdzierające sceny. Matki biegały jak obłąkane wśród ulewnej deszczu, płacząc i krzycząc, w poszukiwaniu swych dzieci i rodzin. Silna wichura rzucała iskry i popioły na emigrantów, pokrywając ich twarze i ubranie sadzą i spalenizną. Straż ogniowa, która przybyła z sąsiedniego miasteczka, uruchomiła sikawki, które jednak pracowały tylko przez 10 minut

z powodu małego ciśnienia wody. Zresztą straż ogniowa przybyła dopiero w pół godziny po wybuchu pożaru.

Polski Emigrant Bohaterem
Akcji Ratunkowej

Bohaterem akcji ratowniczej, w której wzięli udział mieszkańcy obozu i pielęgniarki, był polski emigrant — Jan Telgner. Ponieważ drzwi do baraku szpitalnego były zamknięte na klucz, Telgner, ubrany tylko w pyjamę rozbił okno i dostał się do wnętrza baraku, którego jedna trzecia stała w płomieniach. Wyniósł on przez okno kilkorodzieci i usiłował ratować inne. Został jednak odrzucony przez płomienie i wyskoczył przed okno chroniąc się przed śmiercią. Pożar trwał około 2 godzin. Pomimo rozpaczliwych wysiłków straży ogniowej mieszkańców obozu nie udało się uratować pięciorga dzieci, których zwęglone zwłoki wydobyto z popiołów.

Nazwiska dzieci, które straciły życie: w tym tragicznym wypadku:

Dzieci polskie — Edward Staszczak (7 miesięcy), Józef Handerek (5 i pół roku), Ryta Zmigradzka (6 lat).

Dziecko ukraińskie — Barbara Kowalczyk (7 lat).

Dziecko łotewskie — Martin Cauce (5 lat).

Jak szybko postępuje hitleryzacja Niemiec zachodnich, świadczy m. in. drobny retusz życiorysów posłów do bonnskiego parlamentu. W roku 1949, gdy ukazało się pierwsze wydanie „Handbuch des Deutschen Bundestag” (Informator parlamentarny), było jeszcze w modzie szczylenie się antyhitlerowską przeszłością. Posłowie wysilali się więc, by do życiorysów wstawić sobie odpowiednie dane, dowodzące, iż tak czy owak narazili się hitlerowcom. Dziś — taka wzmianka w życiorysie bardzo jest kompromitująca i może człowiekowi zamknąć drogę do kariery. I oto w nowym wydaniu „handbuchu” z r. 1952 wiele życiorysów przeszło dziwną metamorfozę.

Kilka przykładów.

W r. 1949 poseł dr Thomas Dehler, minister sprawiedliwości w „rządzie” Adenauera, pisał o sobie:

„1924 — członek założyciel Reichsbanner (republikkańska organizacja bojowa, rozwiązana potem przez hitlerowców — przyp. red.) i członek Partii Demokratycznej. W latach 1933—1942 członek opozycyjnej grupy anty-

hitlerowskiej, która współdziałała potem z dr Goerdelerem. Aresztowany w r. 1938 i zesłany na przymusowe roboty w 1944. W r. 1946 oskarżyciel publiczny w procesach denazyfikacyjnych”.

A dziś tenże sam dr Dehler skrócił swój życiorys wydatnie:

„1923 prawnik (Monachium, Bamberg). 1919 członek Partii Demokratycznej. 1945 oskarżyciel publiczny. 1946 prezes bawarskiej sekcji Wolnej Partii Demokratycznej”.

Chadecki poseł Mathias Mehs pisał o sobie w r. 1949:

„Aresztowany po 20 lipca 1944” (data zamachu na Hitlera — przyp. red.).

W r. 1952 przeźornie wykreślił to zdanie z życiorysu.

Socjaldemokrata Franz Marx szczylił się w roku 1949:

„Aresztowany w maju 1933, zesłany do obozu koncentracyjnego w Dachau”.

Dziś pobyt w Dachau uważany jest w Bonn za fakt bardzo kompromitujący.

Przeźorny socjaldemokrata pisze więc ogólnikowo:

„Narażony na prześladowania polityczne w latach 1933—1945”.

Wiceprzewodniczący partii socjal-demokratycznej, Wilhelm Mellies, pisał w roku 1949:

„Usunięty za czasów Hitlera ze stanowiska nauczyciela z powodów politycznych”.

Dziś poseł Mellies patrzy na te sprawy zupełnie inaczej. Pisz:

„Ustał w r. 1933 ze stanowiska nauczyciela na własne żądanie”.

Żeby ktoś nie pomyślał, że się, broń Boże, naraził hitlerowcom.

Równocześnie przysłał koleją na podkreślenie swych zasług z okresu hitlerowskiego, co jeszcze w r. 1949 uchodziło za niewskazane. Jeden z przywódców „Wolnej Partii Demokratycznej”, dr Erich Mende, pisał o sobie w r. 1949 skromnie:

„Uczestnik drugiej wojny światowej”.

Dziś pan poseł uważa za wskazane nieco wyraźniej przedstawić to swoje „uczestnictwo”. Pisz z dumą:

„Kariera wojskowa w latach 1936—1945: dowódca pułku”.

Jawohl, Herr Oberst!

A prof. Eduard Wahl, chrześcijański demokrat, który w r. 1949 nieostrożnie wpisał do swej biografii:

„Przymusowo wcielony do Wehrmachtu w r. 1944 jako politycznie podejrzany”,

w r. 1952 czym prędzej wykreślił te słowa.

Jego kolega zaś, dr Hermann Ehlers, przewodniczący frakcji chadeckiej w parlamencie bonnskim, który w r. 1949 pisał skromnie:

„Powołany do Wehrmachtu w 1939, brał udział w wojnie”,

dziś pisze z dumą:

„Udział w wojnie 1939—1945, jako adiutant dowódcy baterii”.

Heil Hitler!



Wstydlivy Herr Ehlers

PRAGERMAŃSKI ZAMEK PIASTOWSKI



Jeszcze jeden przyczynik do tragedii uchodźców polskich, którzy omamieni łajdacką propagandą reakcyjnych wodzów londyńskiej emigracji, poszli na tułaczkę po świecie. Tym razem „ziemia obiecana” okazała się Australią. Trzyma się tu nieszczęśliwych imigrantów w obozach koncentracyjnych, w drewnianych barakach, wystawionych na niebezpieczeństwo pożaru.

Wycinek z „Dziennika Związkowego” w Chicago, z dn. 13 września 1952 r.

Hurra-rewizjonistyczna organizacja zachodniorniemiecka, tzw. „Ziomkostwo Ślązaków” (Landmannschaft Schlesien), celująca w uprawianiu antypolskiej hecy odwetowej, wydała „znaczki pamiątkowe” z widokami „Heimat im Osten” (ojczyzny na Wschodzie). Dochód

ze sprzedaży tych znaczków (seria obejmuje wartość 0.50, 1, 2, 3, 5 Westmark) przeznaczony jest na propagandę rewizjonistyczną. A umieszczone na nich obiekty nieźle charakteryzują wilcze apetyty heroldów nowego „Drang nach Osten”. Oto widzimy na znaczkach Ha-

lę Ludową we Wrocławiu, Zamek i Ratusz w Opolu, Teatr w Katowicach, Ratusz we Wrocławiu i odwiecznie germański... Zamek Piastowski (Piastenschloss) w Legnicy!

Jak widać, głupota idzie tu w zawody z bezczelnością.

T * E * A * T * R

SWIAT

DYREKCJA: J. SZELAĞ

DEKORACJE I KOSTIUMY: HA-GA

Tekst: Tadeusz Polanowski
Joanna Wilińska

WYBORY W KANSAS CITY

SCENA I

Rzecz dzieje się w wielkiej hali sportowej. Nad wejściem wisi olbrzymi ośioł z poztacanej tektury, jak łatwo się domyślić — podło partii demokratycznej. Przemawia kandydat tej partii, Jack Klaxon.



JACK KLAXON: — Drodzy wyborcy! Amerykanie i Amerykanki! Mam zbyt wysokie mniemanie o waszych sercach i umysłach, aby przypuszczać przez chwilę, że pójdziecie jutro wysłuchać tego opryska, bandytę, truciciela własnych dzieci, kandydata republikanów Boba Dobsona. Zaprawdę, rekiny naszego miasta nie mogły znaleźć bardziej plugawego obrońcy swych plugawych interesów. I ta nędzna kreatura, ten skretyniały potomek czarnej niewolnicy i handlarza opium śmie występować w roli obrońcy szarego białego człowieka!

GŁOS Z TŁUMU: — To gwałciiciel nieletnich!
JACK KLAXON: — Nieletnich?! Nie, moi drodzy, niemowląt! Niewinnych niemowląt! Bob Dobson nie przepuści żadnej kołyski! Ale wy nie jesteście niemowlętami! Pamiętajcie przecież, że dziadek jego brał udział w porwaniu jedynej, ukochanej, dwumiesięcznej córeczki naszego nieodżałowanego prezesa banku, mister Hopkinsa. Panno Hopkins, niech pani śmiało ukaże się zebrany, ręka tego draba tutaj pani nie dosięgnie.

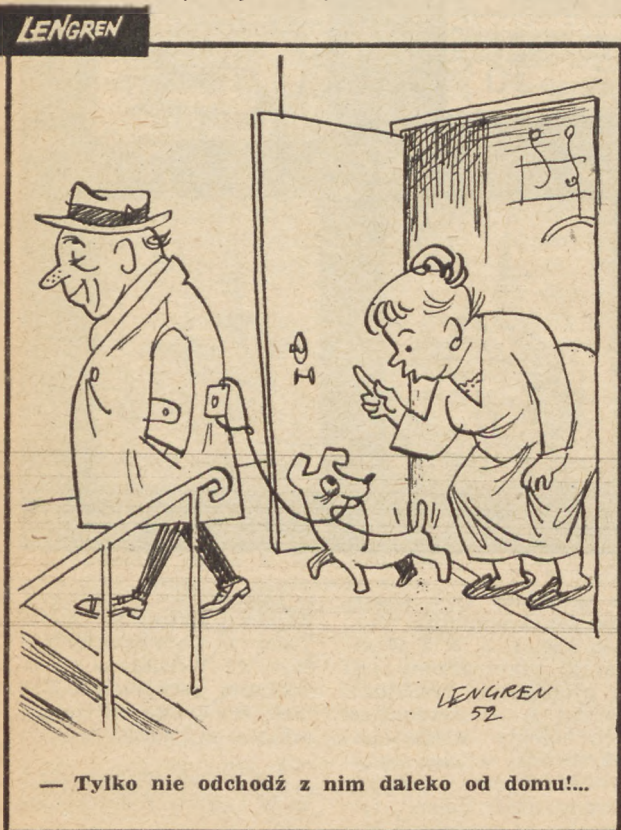
PANNA HOPKINS (drżącym głosem): — Porwał mnie! Pamiętam jak dziś, z wózeczka mnie porwał! Takie malutkie, niewinne dziecko! Nie mógł pocześć, aż dorosłe... Nigdy mu tego nie daruję.

JACK KLAXON: — Obywatele! Spójrzcie na siwe włosy tej ofiary morderczych instynktów rodziny Dobson. Czy ona może klamać?! Obywatele! Czy chcecie oddać los waszych dzieci w ręce takiego szubrawca?

GŁOS Z TŁUMU: — Nie chcemy!
JACK KLAXON: — Czy chcecie, aby o waszych losach decydowała banda sutenerów, złodziei i łapowników?

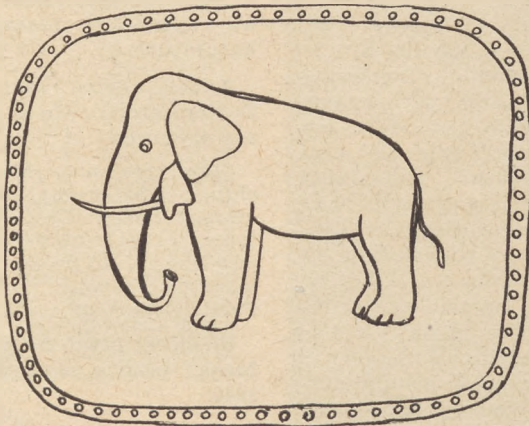
GŁOS Z TŁUMU: — Nie chcemy!
JACK KLAXON: — Czy chcecie szczęścia, spokoju i dobrobytu?

GŁOS Z TŁUMU: — Chcemy!
JACK KLAXON: — Czy chcecie nowych gatunków doskonałej chatwy z firmy Cropson i Syn?



— Tylko nie odchódz z nim daleko od domu!...

GŁOSY Z TŁUMU: — Chcemy!
JACK KLAXON: — Kobiety, czy chcecie, aby mężowie byli wam zawsze wierni?
CHÓR KOBIEC: — Chcemy!
JACK KLAXON: — Mężczyźni, czy chcecie, aby w lokalach mi-ster Drinka występowały girlsy z Broadwayu?
CHÓR MĘŻCZYZN: — Chcemy!
JACK KLAXON: — Jeśli chcecie tego wszystkiego, to z pewnością nie będziecie głosowali na łotra, sprzedawczyka, kłamcę i szantażystę Boba Dobsona, a oddacie swe głosy człowiekowi, który tu stoi przed wami i który wam to wszystko może zapewnić.



SCENA II

Tamże nazajutrz. Nad wejściem wisi słoń z nadelej gumy — symbol partii republikańskiej. Przemawia kandydat tejże partii, Bob Dobson.

BOB DOBSON: — Drodzy wyborcy! Amerykanie i Amerykanki! Mam zbyt wysokie mniemanie o waszych sercach i umysłach, aby przypuszczać przez chwilę, że dalsieście wiarę brudnym łgarstwom miotanym tu wczoraj przez tego starego łotra Jacka Klaxona. Zaprawdę, rekiny naszego miasta nie mogły znaleźć bardziej plugawego obrońcy swych plugawych interesów. Ten nędzny, szmatławy typ śmie wsadzać swe brudne paluchy w moje czyste życie rodzinne. Nazywać mnie trucicielem własnych dzieci! Mnie, który kupuje chatwę dla swych pociech tylko w najlepszej firmie Cropson i Syn. Oto zaświadczenie znanego wam wszystkim doktora Drobkinsa potwierdzające fakt, że dzieci moje miały zwykłą biegunkę na skutek przejedzenia. Ale na pewno nie z powodu przejedzenia uciekła od tego nędznika Klaxona jego żona Małgorzata. Ten okropny sknera głodził nieszczęsną położnicę, aby mieć pieniądze na ohydne orgie w plugawych spelunkach tego starego łotra Toma Drinka.

GŁOSY Z TŁUMU: — Małgorzata Klaxon waży sto kilo!
BOB DOBSON: — A tak, bo spuchła z głodu. Ten podły zwyrodnialec szargał tutaj także pamięć mojej szlachetnej babki, której ciało było bielsze od miodu, o czym dobrze pamiętają wasi dziadkowie, a nawet ojcowie. Ale spójrzcie na zakazaną mordę Jacka Klaxona. Czy jego purpurowy nochal nie jest najlepszym świadectwem, że w żyłach jego płynie krew czerwonooskórków? Obywatele Kansas City, czy chcecie, aby o waszych losach decydował ten nędzny mieszaniec?

GŁOSY Z TŁUMU: — Nie chcemy!
BOB DOBSON: — Czy chcecie, aby nasza drużyna piłki nożnej wyjechała na zawody do Chicago?

GŁOSY Z TŁUMU: — Chcemy!
BOB DOBSON: — Kobiety, czy chcecie, aby zamknięto wreszcie ohydne spelunki Toma Drinka?

CHÓR KOBIEC: — Chcemy!
BOB DOBSON: — Mężczyźni, czy chcecie, aby w mieście naszym otwarto prawdziwie luksusowe lokale nocne?

CHÓR MĘŻCZYZN: — Chcemy!
BOB DOBSON: — Jeśli chcecie tego wszystkiego, to nie będziecie głosowali na tego łotra, sprzedawczyka, kłamcę i szantażystę Jacka Klaxona, ale oddacie swe głosy...

(straszliwy huk, zamieszanie na sali)
GŁOSY Z TŁUMU: — Co się stało, co się stało?! Latający talerz! Bomba atomowa! Marsjanie!

BOB DOBSON: — Spokojnie, obywatele, spokojnie! To tylko pęk nasz słoń.

GŁOS Z TŁUMU: — Za bardzoście go nadęli!

SCENA III

Wnętrze wytłoczonego klubu. Przy butelce whisky siedzi dwóch czcigodnych dżentelmenów.

DZENTELMEN I: — Pańskie zdrowie, mister Cropson! No i co, niepotrzebnie wyrzucił pan 5.000 dolarów na fundusz wyborczy tego Dobsona. Republikanie przepadli z kretemsem.

DZENTELMEN II: — Pańskie zdrowie, mister Drink! Ciekawe, ile pana kosztował ten pański demokratyczny kandydat?

DZENTELMEN I: — Hm, sporo, 8.000 dolarów. Ale za to wygrał. Mam teraz swojego burmistrza i nareszcie mogę spać spokojnie. Nikt mi już pod nosem nie otworzy konkurencyjnego lokalu.

DZENTELMEN II: — Swojego burmistrza? Naszego burmistrza, mister Drink. Widzi pan, ja nie jestem taki rozrzutny... Mnie on obaj kosztowali 8.000 dolarów.

KURTyna

ANEGDOTY

Jedna ze starszych pań, przewrażliwiona na punkcie higieny, będąc raz w towarzystwie, w którym był Pasteur, zapytała go, co robi z wodą, gdy ma pragnienie, by nie paść ofiarą mikrobów.

— „Najpierw wodę gotuję przez godzinę...” — odparł Pasteur.

— A potem? — pyta niecierpliwie dama.

— Potem poddaje ją jak najdoskonalszej destylacji przy pomocy środków chemicznych...

— I co dalej? — pyta zaciekawiona dama.

— Potem znów ją gotuję, lecz przez pół godziny...

— No, a potem? A potem odstawiam ją, biorę butelkę dobrego wina i wypijam wino...

*

Przyszło raz grać Jouveta w pewnej sztuce wraz z młodym aktorem, po raz pierwszy występującym na scenie. Zgodnie z tekstem sztuki młody adept miał zabić Jouveta wystrzałem z pistoletu.

Przy słowach: — „Więc giń, podły zdrajco!...” — wyciąga pistolet, naciska spust, lecz huk nie następuje.

Młodzieniec zaczyna się denerwować, naciska spust jeszcze raz... Cisza!

Jouveta, chcąc ratować sytuację, pada na kolana i klaga: — „Nie jestem godny takiej śmierci!... Zasztyletuj mnie!”

Partner Jouveta szuka nerwowo sztyletu, który powinien mieć za pasem, lecz nie znajduje go...

Jest coraz bardziej zdenerwowany...

— „Niechaj zginie jak pies...” — czołga się do niego Jouveta — „uduś mnie!”

Młody aktor z oczami pełnymi łez podlatuje do czołgającego się Jouveta i z determinacją kopie go w pośladki, po czym ze spazmatycznym krzykiem wybiega za kulisy.

Jouveta wstaje z okropnym wyrazem twarzy, łapie się obydwoma rękami za pośladki i przejmującym głosem krzyczy: — „Zabił mnie!... But był zatruty...” i pada, zgodnie z tekstem — martwy.

Drodzy Czytelnicy!

Niejednokrotnie postępowi pisarze piętnowali i ośmięszali różne formy filantropii polegającej na organizowaniu loterii fantowych i różnych, mniej lub więcej wesołych imprez, na których panie prezosowe licznych kół i kółek, zarówno w czasach Bolesława Prusa, jak i później, prezentowały ostatnie kreacje mody paryskiej. Oczywiście, rezultaty tych loterii, karot i imprez były śmiesznie małe w porównaniu z potrzebami tysięcy bezdomnych, starców czy głodujących dzieci.

Co gorsza, dochody z tych filantropijnych przedsięwzięć szły przeważnie na cele dalekie od tych, na jakie je zbierano.

Oto leży przed nami wycinek z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z 1 marca 1929 r., w którym podano nader interesujące cyfry ze sprawozdania warszawskiego Centralnego Komitetu Opieki nad Dzieckiem. Znajdziemy tam następujące cyfry w bilansie dochodów:

Dochód z całej zbiórki . . .	194.000.00 zł
Rozchód . . .	167.910.02 „
Czysty zysk . . .	27.746.11 „

„Ponieważ z zysku tego — czytamy w IKC — odtrąca się sumę 25.000.00 zł pożyczonych z kasy Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, więc zostaje w bilansie czysty dochód dla „Dziecka” 2.746.11zł(!)!”

O parę wierszy dalej znajdujemy wyjaśnienie tego ponurego obrachunku. Po stronie rozchodu w poszczególnych pozycjach czytamy:

Przewodniczący komitetu . . .	26.186 zł
organizacje loterii fantowej . . .	12.000 „
biuro loteryjne . . .	7.000 „
zakup fantów . . .	23.358 „
koszta propagandy . . .	15.404 „
wydawnictwa . . .	23.388 „

„Sam przewodniczący Komitetu — pisze IKC — pobrał dla siebie 26.186 zł, a organizator loterii fantowej 12.000 zł”.

Oto jaskrawy dowód, ale nie jedyny i nie odosobniony w czasach sanacyjnego wyzysku i rabunkowej gospodarki, jak dbano — biorąc zresztą przykład od rządzącej góry — o dziecko polskie.

Nie będziemy tego faktu komentowali ani przeciwstawiali mu naszych osiągnięć w dziedzinie troski o zdrowie, naukę i przyszłość dzieci.

Co myślicie na ten temat, Drodzy Czytelnicy, dopowiedzcie sobie sami.

SWIAT

LUPE LUNETE

ZYJEMY DŁUŻEJ

Utarło się mniemanie, że w dalekiej przeszłości ludzie żyli znacznie dłużej niż obecnie. Nic bliźniejszego! Badania 20 szkieletów, znalezionych w grobach ludzi epoki kamiennej, wykazały, że tylko jeden z tych ludzi żył około 50 lat, zaś ponad połowa szkieletów należała do dzieci i osobników jeszcze nie dojrzałych.

Obecnie wiek ponad 100 lat nie należy do rzadkości, szczególnie w Związku Radzieckim, gdzie cała ludność ma lepszą niż w innych krajach opiekę zdrowotną. W ZSRR niedawne statystyki wykazały ponad 30 tysięcy osób w wieku powyżej 100 lat. Szczególnie dużo stuletnich znajduje się w Gruzji, w obwodzie Charkowskim (Ukraina) i w Altaju (Syberia zachodnia).

DRUGIE DZIECKO

Wypadki narodzin słoń w ogrodach zoologicznych są bardzo rzadkie — ilość słońtek, zrodzonych we wszystkich ZOO na świecie, sięga ledwie dwudziestu. A już do wyjątkowych wypadków należy spłodzenie drugiego „dziecka” przez słońce w ZOO.

Taki właśnie wypadek miał miejsce w moskiewskim ogrodzie zoologicznym. Słoń „Szango” i słońca „Molli”, które przed dwoma laty wzbogaciły przychówek moskiewskiego ZOO o słońiatko „Mokawicz”, powiększyły ostatnio swą rodzinę o jeszcze jedną osobę. Nowonarodzone słoń wabi się tymczasowo „Malec”. Na zdjęciu widzimy go pod opieką troskliwej mamy w kilka godzin po przyjściu na świat.



SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4.—, kwartalna zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna zł 48.—.

Zakłady Wklesłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. 624. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 3-B-27190

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LOGOGRYF — METAMORFOZA



1	2	3	4	5	6	7	8	9
10	11	12	13	14	15	16	17	18
19	20	21	22	23	24	25	26	27

Odgadnąć 27 wyrazów czteroliterowych o poniższych znaczeniach, po czym w każdym z nich zmienić trzecie litery tak, aby powstało 27 nowych wyrazów, które nale-

ży wpisać do pionowych rzędów podanej figury. Zaznaczone kółeczkami rzędy poziome dadzą rozwiązanie.
Znaczenie wyrazów: 1) Pod-sława, fundament, 2) Zbiór

zboża, żniwo, 3) Sztuczne ustawienie się, 4) Zbocze góry, 5) Mineral łupliwy, 6) Ostrze włóczni, 7) Zarozumiałość, pycha, 8) Mgła nad bagnem, 9) Znak muzyczny na pięciolinii, 10) Położenie, los, 11) Znak, ślad, 12) Ptak nocny, 13) Choroba zakaźna, 14) Tylne części okrętu, 15) Mieszanka metali, 16) Plecionka ze słomy, 17) Lewy dopływ Wisły, 18) Porządek, układ, 19) Prawy dopływ Wisły, 20) Znak arytmetyczny, 21) Miara ilości, 22) Figura w kartach, 23) Jednostka wagi, 24) Kolor, barwa twarzy, 25) Drzewo liściaste, 26) Waga opakowania, 27) Lewy dopływ Dunaju.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie
20 nagród książkowych

SPROSTOWANIE

W NUMERZE 43 „SWIATA” Z DN. 12 PAŹDZIERNIKA ULEGŁO ZNIEKSZTAŁCENIU NAZWISKO KANDYDATKI DO SEJMU Z OKRĘGU SZCZECIŃSKIEGO — OLGII DUBIK, KTÓRE PODANO W BRZMIENIU — DUDIK.

BUNT GLADIATORÓW

DOKOŃCZENIE ZE STR. 19

Za dawnych czasów była wspólnota rodzinna i plemienna, a potem poczucie dumy narodowej. Lecz tu tworzyło się coś nowego — braterstwo ludzi uciskanych. I w tym ogromnym różnorodnym tłumie nikt się nie skarżył. Czuli tchnienie miłości i sławy. Wielu z nich nie znało Spartakusa, niektórzy wiedzieli tylko, jak wygląda z daleka, lecz kochali w nim już wodza. Był ich przywódcą, ich bogiem, albowiem nie byli pewni, czy bogowie nie schodzą od czasu do czasu na ziemię, by przebywać między ludźmi. Ostatecznie każdy przecież wiedział, że Prometeusz ukradł niebiosom święty ogień i oddał go ludzkości, jako najcenniejszy ze wszystkich boskich darów. A co stało się raz, mogło się przecież z łatwością powtórzyć. Już dokoła ognisk powstawały legendy i mity spartakusowy zaczynał kształtować się na dobre. Przecież nie było takiego niewolnika, który by nie marzył o wolności...

Tymczasem Spartakus siedział wśród gladiatorów, zastanawiając się wraz z nimi nad przyszłością i analizując wypadki ostatnich godzin. Mały strumyk buntu — stwierdził Gannikus — stał się już wielką rzeką, która groziła wylewem. Gdy patrzył na Spartakusa, oczy lśniły mu przedziwnym blaskiem. „Pomaszerujemy przez cały świat — i kamień nie zostanie na kamieniu”. Lecz Spartakus milczał. Położył głowę na kolanach Warynii, a ona gładziła jego gęste, kasztanowe loki i ostry zarost na policzkach. Przenikało ją zadowolenie i spokój. Była szczęśliwa, ale w nim płonął wielki ogień; czuł, że było mu lepiej w niewoli, niż w tej chwili. Patrzył w górę na ugwieżdżone italskie niebo, a pierś jego rozdzierały wątpliwości, lęk, tęsknoty, i przytłaczała go ogromna odpowiedzialność za to, co się stało. Wiedział, że musi zniszczyć Rzym. Sama myśl o ogromie takiego zadania wywołała uśmiech na jego usta. Warynia ucieszyła się i przesunawszy lekko palcami po jego wargach, zaśpiewała w swoim macierzystym języku:

„Kiedy łowca z lasu wraca,
Z sarną, którą właśnie ubił,
Rzuca okiem na ognisko,
Na kobiety i na dzieci...”

Rytm pieśni leśnego szczerpu, żyjącego w odległym, zimnym i dzikim kraju. Ileż tych dziwnych leśnych pieśni słyszał był w swoim czasie! Śpiewała, a on wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, pogrążony w myślach.

„Musisz zniszczyć Rzym — właśnie ty, Spartakusie. Musisz poprowadzić tych ludzi i musisz być stanowczy i silny. Musisz nauczyć ich, jak walczyć i jak zabijać. Nie ma drogi odwrotu, ani kroku wstecz. Cały świat jest własnością Rzymu, dlatego też Rzym trzeba zniszczyć. Rzym będzie kiedyś tylko złym wspomnieniem, a my zbudujemy życie na jego gruzach. Wszyscy ludzie będą żyli w zgodzie, harmonii i braterstwie, nie będzie ani niewolników, ani panów, ani gladiatorów, ani aren. Będziemy żyli, jak w dawnych, złotych czasach. Zbudujemy nowe miasta, miasta pokoju, i nie będzie murów dokoła tych miast”.

Warynia przestała śpiewać i spytała: — O czym myślisz, mężu mój? Czy bogowie przemawiają do ciebie z gwiazd? Co mówią, ukochany? Czy są to tajemnice, których nie wolno ci wyjawiać? — Niby żartowała, lecz kto mógł wiedzieć, ile było prawdy w legendach o bogach? Spartakus nienawidził bogów i nie oddawał im czci. — Czy niewolnicy też mają bogów? — zapytał kiedyś Warynię.

— Nie mam i nie będę miał przed tobą tajemnic — powiedział teraz.

— Więc powiedz, o czym marzysz?

— Marzę, że stworzymy nowy świat.

Przeraziły ją te słowa, lecz on dodał łagodnie:

— Ten świat był także stworzony przez ludzi. Pomyśl, czy jest coś na świecie, czego sami nie zbudowaliśmy? Miasta, wieże, mury, drogi, statki? Czemu więc nie moglibyśmy stworzyć nowego świata?

— Rzym... — powiedziała i w tym jednym słowie mieściła się potęga, która władała światem.

— Więc zniszczymy Rzym — odpowiedział Spartakus. — Świat ma dość Rzymu. Zniszczymy Rzym i zniszczymy wszystko, co jest z ducha Rzymu.

— Ale kto? Kto? — pytała.

— Niewolnicy. Zdarzały się i przedtem powstania niewolników, lecz nasze powstanie jest inne. Rzucimy wezwanie, które podejmą niewolnicy całego świata...



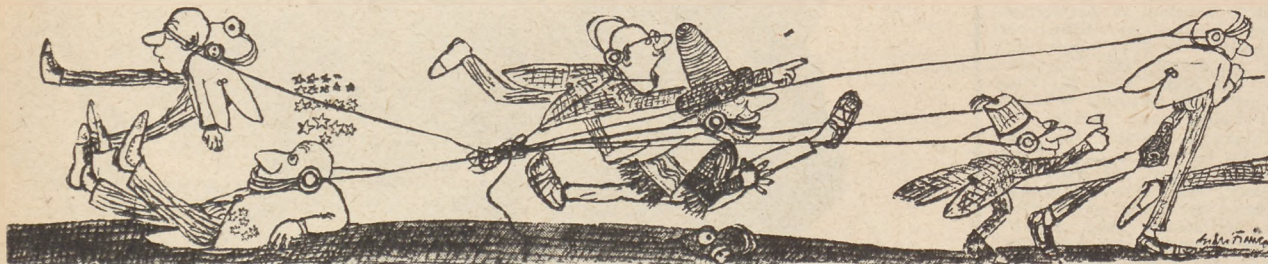
TANIO i ŁADNIE



Kapelusz jest jednym z ważniejszych elementów zimowego stroju kobiecego. Właściwy dobór kapelusza do typu urody i — przede wszystkim — do fasonu płaszcza, decyduje o eleganckim wyglądzie. (To samo dotyczy bucików). Jakie kapelusze są modne? Takie, jakie widzicie na naszych fotografiach: małe rondka, dość niskie główki — jak najmniej ozdób w rodzaju pęków piór, brylantowych strzał i złotych płaszków. Najelegantsze kapelusze do płaszczy jesienno-zimowych wykończone są albo tym samym filcem, albo wstążką. Jedyną dopuszczalną ozdobą błyszczącą jest klamerka metalowa. Bardzo modne natomiast jest łączenie dwóch rodzajów filcu, względnie dwóch kolorów kontrastujących.

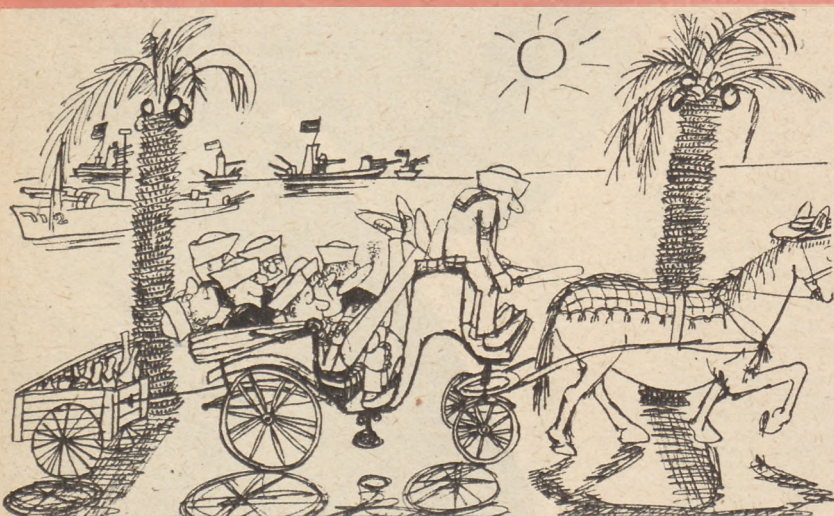


HUMOR I SATYRA FRANCUSKA



Mechaniczna większość w ONZ nie zawsze działa bez zarzutu

rys. André François



Amerykańscy marynarze na Lazurowym Wybrzeżu

rys. André François



Francuski minister Spraw Zagranicznych

rys. Donga



— Błagam cię, Hans, przestań pukać; będziemy mieć do czynienia z władzami okupacyjnymi.

rys. André François

Rząd francuski interweniował u rządu belgijskiego w sprawie zwolnienia zbrodniarzy wojennych.



PINAY: Panowie sędziowie, mam w moim rządzie ludzi, którzy mogą za niego odpowiadać...

rys. Miteberg



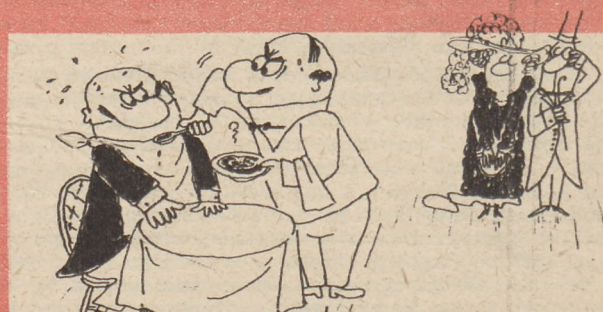
— Kazalaś trochę czekać na siebie...

rys. Deran



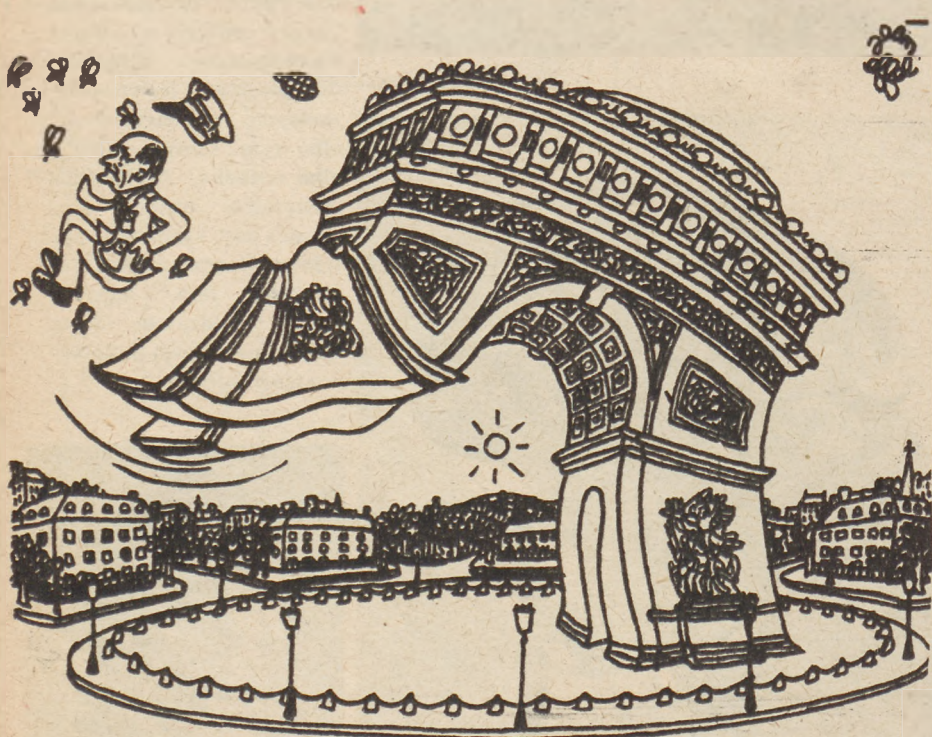
— Po co jednoczyć Niemcy, jeżeli nie mają mieć wolności wykonywania naszych planów?...

rys. Miteberg



— Szybko, szybko, ludzie czekają...

rys. Oshi



Paryż „wita” Ridgway'a

rys. Jean Effel



— Zobacz, mój drogi, czy tren pani markizy już wszedł i zamknij drzwi

rys. Oshi